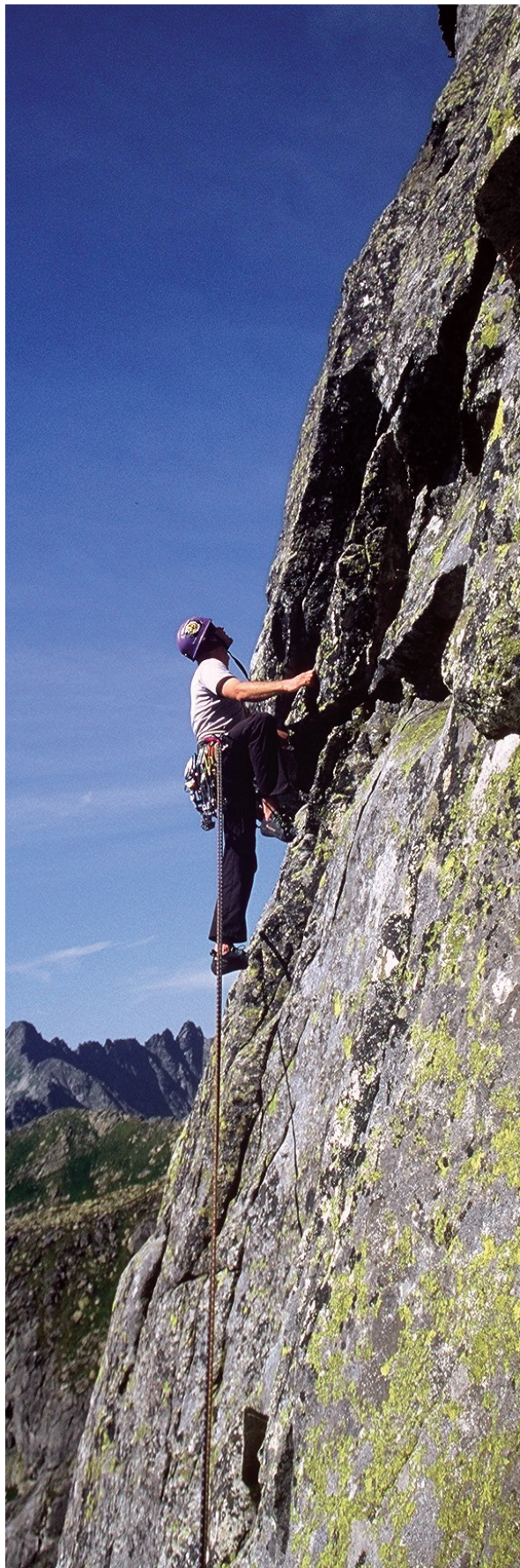


TATERNIK

Nr 4/2004 • ISSN 01373155





SPIS TREŚCI

Jubileuszowe ordery.....	1
No Pain – No Gain, czyli jakiej „pezety” chcemy (A. Paszczak).....	2
Moja wizja szkolenia (B. Kowalski).....	6
Letni sezon 2004	
w Tatrach Polskich (A. Paszczak).....	8
„Deklaracja Krakowska”.....	13
Polski sezon w Yosemitech (M. Ciesielski).....	14
Kanadyjskie Góry Skaliste (R. Sławiński).....	15
W kanionach Taghii (D. Kaszlikowski).....	19
Góry Europy – lato 2004 (J. Radziejowski).....	23
Jubileusz Góry Gór.....	25
Kronika gór wysokich 2003	
Cz. II – Nepal – wiosna.....	28
Pik Pobiedy’2004 (Marcin Miotk).....	32
W Garhwalu działo się...	
(J. Nyka, B. Kowalski, M. Tomaszewski).....	35
Serwis wspinaczkowy (A. Kamiński).....	38
Lampo jak K2 (J. Nowak).....	42
Tennengebirge Ost 2004 (M. Furtak).....	44
Speleokonfrontacje 2004 (A. Gajewska).....	46
Rozmaitości.....	47
Wypadki taternicze VIII 2003 – IX 2004.....	51
Kongres IKAR w Zakopanem (A. Rajwa).....	51
Góry w konkursie olimpijskim w Atenach (wywiad z M. Rożkiem).....	54
Nowości wydawnicze.....	56
Magdalena Jarosz (1981 – 2004).....	57
Piotr Trzeszczoń (1973 – 2004).....	57
Daniel Rusnarczyk (1985 – 2004).....	57
Marek Sokołowski (1945 – 1994).....	58
Peter K. Schoening (1927 – 2004).....	59
Zdeno Zibrin (1931 – 2004).....	59

Okładka : Dawid Kaszlikowski na drodze *Barracuda* w marokańskim rejonie Taghii.

Fot. E. Kubarska

Obok: Tadeusz Grzegorzewski na drodze Janigi południową ścianą Wołowej Turnii.

Fot. A. Paszczak

Jubileuszowe ordery

Ostatnim akordem obchodów Jubileuszu 100-lecia organizacji alpinistycznych w Polsce, była uroczystość wręczenia przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego orderów i odznaczeń państwowych zasłużonym działaczom i wybitnym alpinistom.

Wysokie ordery i odznaczenia otrzymali:

Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski: Stanisław Zierhoffer;

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski: Leszek Cichy, Barbara Morawska-Nowak, Józef Nyka, Andrzej Sobolewski, Krzysztof Wielicki, Hanna Wiktorowska;

Złoty Krzyż Zasługi: Andrzej Ciszewski;

Srebrny Krzyż Zasługi: Anna Czerwińska, Rafał Kardaś, Wojciech Świącicki.

Uroczystość odbyła się 23 września 2004 roku w Pałacu Prezydenckim. Aleksander Kwaśniewski w dłuższym i bardzo osobistym przemówieniu przypomniał swoje dawne związki z PZA i jego działaczami, a także poszczególnymi alpinistami, wśród nich Jurkiem Kukuczka – do dziś ma w mieszkaniu otrzymany od niego posążek Buddy. Prezydentowi Kwaśniewskiemu asystowali: szefowa Kancelarii Prezydenta RP Jolanta Szymanek-Deresz oraz Sekretarz Stanu Dariusz Szymczycha. Obecni byli także: Sekretarz Stanu w Ministerstwie Edukacji Narodowej i Sportu Adam Giersz oraz prezes Polskiego Związku Alpinizmu Janusz Onyszkiewicz. Wśród zaproszonych gości można było zobaczyć m.in. byłego wiceprzewodniczącego GKKFiT Adama Izydorczyka, wieloletniego prezesa PZA Andrzeja Paczkowskiego, działaczy i pracowników Związku, a także – małżonki odznaczonych.



Fot. J. Kurczab

Walny Zjazd tym razem w skałkach

Zgodnie z postanowieniami Statutu PZA oraz uchwałą Zarządu Związku, w dniach 27-28 listopada 2004 r. w Podlesicach został zwołany

Walny Zjazd Delegatów Polskiego Związku Alpinizmu

Obrady będą się odbywać w „Zajeździe Jurajskim” (naprzeciw „Ostańca”, po drugiej stronie głównej szosy). Wszystkim delegatom, zaproszonym gościom i obserwatorom, owocnych obrad życzę

Redakcja „Taternika”



No Pain – No Gain, czyli jakiej „pezety” chcemy?

Artur Paszczak

Nadchodzi koniec pewnej epoki. Hania Wiktorowska zapowiedziała nieodwołalnie swoje odejście z pracy w PZA. Wraz z nią odchodzi pani Barbara Borecka, wieloletnia księgowa. Nie można przecenić wkładu obu pań, ale szczególnie Hani, w funkcjonowanie naszego związku, w jego codzienny charakter i w to, że w biurze nikt nie czuł się intruzem. „Era Hanki” pozostanie na długo synonimem najlepszych lat polskiego alpinizmu związanych z sukcesami Kukuczki, Zawady, Cichego, Wielickiego i wielu innych.

I choć wielu z nas odejście Hani napawa obawami, jest oczywiste, że będą musieli się pojawić

Nowi ludzie

Moim zdaniem, powinniśmy przy tej sposobności spróbować innej organizacji biura i samego zarządu. Przede wszystkim można by spróbować powołać menedżera – kierownika biura, który, tak jak obecnie, byłby jednocześnie sekretarzem zarządu. Idealną osobą byłby ktoś ze środowiska, kto ma ze wspinaniem czynny kontakt, a jednocześnie posiada talent organizacyjny i te tzw. „interpersonalne” umiejętności. Do obowiązków kierownika należałoby jednak nie tylko organizacja i praca w biurze, ale także kontakty z mediami, sponsorami i codzienna reprezentacja PZA.

Idąc dalej, na stanowisku prezesa niezastąpiony wydaje się być Janusz Onyszkiewicz. Potrzebujemy osoby z nazwiskiem, przed którą

otwierają się zazwyczaj zamknięte dla nas drzwi. „Onyszek” oddał już „pezecie” nieocenione usługi, załatwiając wiele spraw, których nikt poza nim by nie przeforsował. Ale Janusz ma dużo codziennych obowiązków (ostatnio nawet więcej – jak wiadomo posłuje w Brukseli) i nie możemy liczyć na to, że będzie prezesem „operacyjnym”. Krótko mówiąc – nie będzie w stanie zarządzać „pezetą”. Do tego potrzebni są dwaj silni, dynamiczni wiceprezesi. Proponuję, aby odejść od dogmatu „speleo-wiceprezesa”, bo w zasadzie nie ma to znaczenia dla działania samego zarządu. Wystarczy, jeśli przedstawiciel speleo (i narciarzy, jeśli sobie tego życzą) znalazł się w składzie prezydium zarządu.

To właśnie dwaj wiceprezesi wspólnie „rządzili” by związkiem. Dlatego musiałyby to być osoby sprawdzone, obdarzone powszechnym zaufaniem i – sine qua non – w miarę dyspozycyjne. Powinny być więc z Warszawy. (Uprzedzając: w żadnym razie nie przewiduję własnej kandydatury). Bardzo dobrym wiceprezesem był Jurek Natkański. Jeżeli drugi „wice” byłby tak zaangażowany i zdroworozsądkowy jak Jurek – mielibyśmy to, o co chodzi.

W takim układzie powstałaby struktura z prezesem, nazwijmy to, do spraw reprezentacji, dwoma wiceprezesami zarządzającymi operacyjnie, kierownikiem biura i jego asystentem prowadzącymi całość spraw bieżących, oraz księgową lub firmą zewnętrzną i skarbnikiem prowadzącymi finanse.

Sądzą, że byłaby to organizacja dość wydajna, ale – jak każda – zależałaby w pierwszym rzędzie od osobistych walorów osób ją tworzących.

Rzecz jasna, zmiana organizacji biura nie spowoduje sama w sobie niczego przełomowego, dopóki nie zadamy sobie pytania o przyczynę, z powodu której PZA nie spełnia naszych oczekiwań? Dopóki nie odpowiemy na najczęściej spotykany zarzut, że

PZA nic nie daje, tylko bierze

Dlaczego faktycznie jest tak, że poza dysponowaniem dotacjami i spełnianiem funkcji reprezentowania środowiska, PZA bardzo mało wnosi do jakości polskiego wspinania?

Jedną z tych przyczyn jest chroniczny brak pieniędzy na realizację własnych celów. Dotacja z Polskiej Konfederacji Sportu może być wykorzystywana jedynie na cele sportowe lub działalność biura. Nie można przeznaczyć jej na inwestycje w środki trwałe ani na realizację celów innych niż sport.

A jedyne „pozadotacyjne” przychody, jakie posiada PZA to:

- wpływy z wydawanych kart i licencji
- wpływy z opłat za bazę tatrzańską
- wpływy od sponsorów
- składki klubowe.

Dwie pierwsze pozycje są w zasadzie pomijalne, bo ani nie mogą być zwiększone, ani nawet nie pokrywają kosztów, na pokrycie których są pobierane. Wpłaty sponsorów są niestety żenująco niskie. Często pada hasło-wytrych; „trzeba zdobyć sponsorów” i na tym się kończy, bo skończyć się musi. Firmy nie pchają się do sponsorowania alpinizmu, gdyż ten sam w sobie nie ma nic do zaoferowania. Nie interesuje ani mediów, ani konsumentów. Nie ma żadnego komercyjnego powodu, dla którego jakaś marka mogłaby chcieć wyłożyć na PZA jakieś większe pieniądze. Trzeba sobie wreszcie szczerze powiedzieć, że nie mamy i długo nie będziemy mieli oferty dla sponsorów, lepiej więc przestać marzyć o ich „zdobywaniu” i skoncentrować się na sprawach realnych. A nadchodzącą kadencję spożytkować na reformę polityki związku, która umożliwi stworzenie takiej oferty – a więc podpisanie umów z mediami,

rozpoczęcie aktywnej promocji i PR, stworzenie kalendarza imprez z prawdziwego zdarzenia. Na marginesie muszę zauważyć, że jedynym „asem”, jaki posiadamy, są właśnie imprezy, szczególnie typu „Netia-K2”, które przy dobrym zarządzaniu mogłyby stać się jednorazowym źródłem przychodu. Mogłyby – ale nie muszą, bo układ wyprawa-sponsor działa doskonale i bez PZA, o czym wszyscy zainteresowani dobrze wiedzą.

Pozostają zatem składki, które w śmiesznej wysokości 7 zł od osoby kluby są zobowiązane odprowadzać do PZA. Ale i tak w większości albo



Rys. M. Konecki

tego nie robią, albo robią ze znacznym opóźnieniem. A gdyby nawet robiły to jak należy, to i tak ok. 20 tys. zł wpływów z tego tytułu wystarczyłoby zaledwie na zapłacenie składki UIAA.

A zatem

Gdzie jest hund begraben?

Cherchez la femme, chciałoby się powiedzieć. Organizacja. Nasz system „klubowy” powoduje, że słabe są i kluby, i centrum. Pieniądze płaco-

ne w postaci składek przejadane są w klubach na pokrycie kosztów stałych. Większość klubów ledwie wiąże koniec z końcem. I w ten cudowny sposób mamy zrzeszonych w PZA 62 organizacji (37 alpinistycznych i 25 jaskiniowych), z których zaledwie 9 ma powyżej 100 członków! Większość klubów nie robi nic, żeby nowych ludzi przyciągnąć, zresztą nie ma na to funduszy. Z kolei zainteresowanie wstępowaniem do klubów też jest nikłe, bo korzyści są praktycznie żadne. I tak w koło Macieju. Warto zdać sobie sprawę z tego, że ponad 3000 ludzi w Polsce wpłaca składki do swoich klubów. Jest tego około 250 000 złotych. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych!!!

Tylko, że nikt nic konkretnego z tego nie ma. Cała ta suma idzie na 62 księgowo, 62 lokale, i 62 niewiadomocojeszce.

Wyżej pisałem o rozpoczęciu pracy nad „tworzeniem oferty”. To jednak się nie uda bez minimalnego choćby zaplecza finansowego – dyrektor biura, PR, konferencje prasowe; to wszystko kosztuje. Jeśli mamy ruszyć z miejsca, skądś musimy na to wziąć. A w obecnym układzie nie mamy skąd.

Co więc możemy zrobić?

Możliwe są następujące warianty:

1. Wariant inercyjny.

Nie robić nic. Jest dobrze, jak jest.

2. Wariant rewolucyjny.

Rozwiązać PZA i na jego miejsce powołać inny związek, w którym członkami będą mogły być osoby fizyczne, ale nie kluby. Jest to powrót do koncepcji w rodzaju ogólnopolskiego Klubu Wysokogórskiego, który miał 15 oddziałów terenowych. Doprowadzi to do sytuacji, w której większość wspinaczy zrzeszy się w nowym PZA, a kluby przetrwają tylko o tyle, o ile zaoferują coś więcej, za co będzie warto płacić. Oczywiście pojawią się takie, które podpisawszy umowę z nowym PZA będą odprowadzać do niej składki swoich członków (50 zł od osoby) i będą działać nadal, ale większość raczej przestanie istnieć.

3. Wariant sanacyjny.

Zreformować system klubowy tak, aby mogło być zapewnione realne finansowanie PZA (nie zaprzestając reformy innych elementów struktury

związku, co, mam nadzieję, jest oczywiste). Czyli – radykalnie zwiększyć składki, zmusić kluby do zwiększania swojej liczebności. Rozbudować tak zwaną bazę.

Naturalnym biegiem rzeczy opcja na rzecz wariantu inercyjnego będzie zawsze w większości. To jest i będzie podstawowy problem każdej ekipy, która weźmie się za bary z tym problemem. Wariant rewolucyjny jest najprawdopodobniej zbyt radykalny, aby mógł zyskać powszechne poparcie, choć – być może – jest to najlepsze rozwiązanie. Koniec końców tak właśnie wyglądają organizacje alpinistyczne w całym normalnym świecie. I tak, drogą eliminacji, dochodzimy do wariantu sanacyjnego. Sposobów tej sanacji może być, oczywiście, wiele, ale wszystkie muszą odpowiedzieć na podstawowe pytanie:

Jak zwiększyć składkę?

Od pewnego czasu dyskutuję z różnymi osobami taki oto pomysł: moim zdaniem najlepiej byłoby wprowadzić ryczałtową opłatę od klubu, a nie od osoby. Członkostwo w PZA powinno kosztować każdą organizację, bez względu na liczbę członków, 5000 zł rocznie. Bo jeżeli tylko podniesiemy składki, to stanie się to, co zawsze miało miejsce do tej pory: kluby zaniżać będą liczbę członków, a przyjmować nowych wcale nie będą się starać, bo im się to po prostu nie będzie opłacało. System stałych opłat jest – jak sądzę – jedynym, który przez swą prostotę może być i skuteczny, i przejrzysty.

Wprowadzenie go w życie spowodowałoby, że małe kluby albo zamieniłyby się w filie klubów większych, albo upadły, chyba, że okazałyby się konkurencyjne. Duże kluby odniosłyby konkretne korzyści, bo składka na osobę wypadnie dla nich sporo niżej. Dodatkowo, napłynęłaby do nich część z tych osób, które straciłyby swoje rodzime kluby. Po kilku latach, zamiast 62, mielibyśmy 15-20 naprawdę dużych klubów, a każdy z nich odprowadzałby do budżetu PZA 5000 zł, co w sumie przynosiłoby ok. 75 – 100 tysięcy rocznie.

Gdyby poważnie rozważyć taką koncepcję, to można by dyskutować np. dwuletni okres przejściowy, aby kluby mogły się finansowo i

organizacyjnie przygotować. Można by rozważać inne „drogi dojsciowe”, aby system mógł wystartować jak najmniej boleśnie. Wydaje mi się jednak, że koncepcja „opłaty rocznej” jest jedyną, która może przynieść autentyczną reformę. Ma ona wiele zalet: jest łatwa do wprowadzenia, nie powoduje przewrócenia struktury z dnia na dzień, daje szybkie efekty przy niewielkich nakładach. Nie wymaga też w zasadzie żadnych zmian formalnych i organizacyjnych, za wyjątkiem decyzji Walnego Zjazdu. Problem polega na tym, że na tymże zjeździe większość stanowią przedstawiciele małych klubów, bo liczba delegatów nie przekłada się proporcjonalnie na liczbę członków. Jest więc mało prawdopodobne, aby ci właśnie delegaci założyli swoim własnym klubom stryczki na szyje, chyba że refleksja nad „dobrem ogólnym” zwycięży nad „lokalnym patriotyzmem”.

Bo nagle mogłoby się okazać, że PZA naprawdę coś daje w zamian za płacone składki. A płacący zobaczyliby, że coś się naprawdę dzieje, i że lwia część zapłaconych pieniędzy wraca do nich w postaci konkretnych

Korzyści

I to nie byle jakich: za 75 000 zł rocznie można by już zrobić coś konkretnego. Jak podoba się Wam np. pezetowski tabor w Rzędkowicach? Albo tabor w okolicach Zakopanego? Jest to całkowicie realne. W ciągu jednego roku moglibyśmy wymienić wszystkie stanowiska na uczęszczanych drogach zjazdowych i wyekwipować 50-70 dróg do przejść „bez młotka”. W kolejnym roku moglibyśmy odnowić całe wyposażenie taborów, kupić nowe namioty, kuchenki, radiotelefony. W jeszcze kolejnym moglibyśmy wyposażyć 200 dróg w skałach, czyli przygotować cały nowy rejon wspinaczkowy. Moglibyśmy wreszcie zacząć robić to, co przydatne byłoby dla całego naszego środowiska.

System klubowy ma wiele uroków. Sam będąc prezesem klubu dostrzegam to bardzo wyraźnie.



Autor na nowej drodze *Alien* na zach. ścianie Zadniego Kościelca.

Fot. M. Fliśnik

Nie mogę jednak pozbyć się refleksji, że w obecnej formie jest jednym z głównych hamulców rozwoju ruchu wspinaczkowego w Polsce. Jeśli nic z tym nie zrobimy, zmienić się będzie mogło bardzo niewiele. Tylko, że ta zmiana w żadnym razie nie powinna być narzucana siłą bądź odgórnym „dekretem”. Powinna być wynikiem dyskusji i wspólnej pracy. Być może ostateczny jej rezultat byłby zupełnie inny od mojej propozycji, ale to wcale mnie nie martwi.

Obawiam się tylko tego, że taka reforma, jak rzadko która, wymagać będzie autentycznego „głosu wspólnego, siły jednoczącego”.

A to nie będzie łatwe...

Moja wizja szkolenia

Bogusław Kowalski

Zbliża się termin wysłania do druku tego tekstu, a ja coraz poważniej zastanawiam się, czy w ogóle powinienem publikować moje refleksje na temat szkolenia? Dotychczas niemal wszystkie publiczne opinie na temat zmian w systemie szkolenia były odbierane bardzo emocjonalnie. Niestety, pomysły reform są zazwyczaj oceniane przez pryzmat swojego interesu. Dlatego w swoim wywodzie pominię sprawy personalne.

Do wyartykułowania tego tekstu skłonił mnie udział w ostatnim wiosennym Spotkaniu Instruktorów, które odbyło się w Krakowie. Padło wówczas następujące pytanie – czy wobec masowej produkcji instruktorów rekreacji nie powinniśmy obniżyć kryteriów wobec instruktorów PZA? Zebrani w gwałtowny sposób sprzeciwili się takiemu pomysłowi. Jednak pytanie pozostaje i jest moim zdaniem kluczowe dla przyszłości szkolenia wspinania. Pozwolę sobie trochę inaczej je sformułować.

Jakie my, instruktorzy Polskiego Związku Alpinizmu, posiadamy atuty w konfrontacji z instruktorami rekreacji?

Na pewno na korzyść każdego z nas przemawia wieloletnie doświadczenie wspinaczkowe, bez którego nie da się uzyskać papieru instruktora. Znakomita większość ma za sobą świetne przejścia w górach i w skałach, w wielu rejonach świata.

Kolejnym, chyba najistotniejszym naszym atutem jest system, który można nazwać polską myślą szkoleniową. Ten kapitał był i nadal jest gromadzony od wielu pokoleń i jest na pewno powodem do dumy.

Dość ważnym powodem, dla którego to do nas trafiają i będą trafiać klienci, jest monopol na szkolenie w Polskich Tatrach, a co za tym idzie atrakcyjność kursów w skałkach.

Po stronie naszych minusów na pewno należy zapisać koszt kursu. Na tym polu nie jesteśmy w stanie konkurować z instruktorem TKKF, dla

którego szkolenie jest sposobem na spędzenie wakacji i dorobieniem do kieszonkowego.

I ostatnia sprawa to niestety bardzo często niski poziom wspinaczkowy jaki prezentują niektórzy z naszych kolegów. Skutkuje to złą opinią, jaka się „ciągnie” za całym środowiskiem. Do tego tematu powrócę w dalszej części wywodu. Powrócę tu do pytania, „czy powinny zostać obniżone kryteria wobec instruktorów PZA”. Bynajmniej, sami, w dobrze pojętym wspólnym interesie, powinniśmy dbać o naszą formę wspinaczkową. Wielu z nas brakuje na to czasu, motywacji i samodyscypliny, dlatego konieczny jest system weryfikacji. Ale ten temat rozwinę w dalszej części wywodu.

W tej chwili niektórzy zadają sobie pewnie pytanie – no dobrze, a co z instruktorami AWF? Już odpowiadam. Jak pewnie większość zainteresowanych wie, od kilku lat nasze środowisko stara się o upaństwowienie tytułu instruktora PZA. Zgodnie z ustaleniami, aby to się stało, każdy z nas będzie musiał „dorobić” kurs instruktorski na uczelni AWF. Co więcej, stopień instruktora sportu, jaki wielu wspinaczy już uzyskało na AWF, będzie pierwszym krokiem w karierze szkoleniowej. Taki kurs pod egidą PZA jest obecnie w toku, a jego absolwenci – to przyszła, dobrze wykształcona kadra instruktorska naszego związku.

Wspomniane kilkakrotnie przeze mnie Spotkania Instruktorów były reakcją na, jak to nazwano, „brak reprezentatywności Komisji Szkolenia”. Pominę tu drażliwą dla wielu kwestię działalności ustępującej Komisji. Pozwolę sobie jedynie na uwagę, że kwestie personalne oraz ambicje po obu stronach, stanowiły tło relacji pomiędzy Komisją Szkolenia, a uczestnikami Spotkań Instruktorskich. Dodam jeszcze, że dla mnie powody takiego stanu rzeczy były niezrozumiałe i działo się to ze szkodą dla naszego środowiska.

Przejdę więc do najistotniejszej kwestii – mojej wizji przyszłej Komisji Szkolenia. Należy postawić



Uczestnicy kursu tatrzańskiego na Galerii Gankowej.

sobie pytanie – czym ta Komisja powinna się zajmować? Żeby odpowiedzieć na to pytanie najpierw pokrótce opiszę jakie cechy powinny posiadać osoby kandydujące do Komisji Szkolenia.

Według nie tylko mojego pomysłu powinno to być małe grono maksymalnie cztero-pięciosobowe, w którym znajdować się będą osoby:

- przede wszystkim chcące pracować
- mające zdolności organizacyjne
- kreatywne, a ściślej mówiąc zdolne „pociągnąć” temat przez cały okres kadencji
- mające zdolności dyplomatyczne
- posiadające minimum wiedzy i umiejętności w komunikowaniu się za pomocą Internetu.

Natomiast praca Komisji powinna skupiać się na następujących kwestiach:

- uregulowanie statusu prawnego instruktora Polskiego Związku Alpinizmu.
- praca nad metodyką szkolenia mająca w końcowym etapie doprowadzić do powstania „Podręcznika Metodyki Szkolenia”. W moim rozumieniu taki podręcznik byłby aktualizowany w miarę potrzeb. Wielu spośród nas na własny użytek opracowało wiele tematów związanych ze szkoleniem. Należy to po prostu zredagować, poprawić i wydać.
- organizowanie kursów instruktorskich
- organizowanie weryfikacji
- organizowanie unifikacji

Według tego schematu podział ról jest bardzo czytelny, konkretne osoby odpowiadają za swoje „działki”. Dlatego przyszła Komisja moim zdaniem powinna być nieliczna, a jej członkowie byłiby w moim zamyśle koordynatorami konkretnych działań, do których dobieraliby sobie grono współpracowników. Stąd potrzeba zdolności dyplomatycznych w naszym nieco osobliwym środowisku.

Na koniec pozostawiłem kwestie unifikacji i weryfikacji. Weryfikacja, wbrew powszechnym obawom, nie ma być narzędziem wycofania nieaktywnych wspinaczkowo instruktorów. Stąd pomysł stworzenia kategorii wiekowych, bo inne kryteria powinny obowiązywać wytreningowanych na październik młodych, a inne spore grono wybitnych alpinistów, a zarazem świetnych szkoleniowców. Sam nie wiem, czy chciałbym robić kurs u któregoś z mistrzów skały, rodem z Krakowa, czy też u jednego ze starszych kolegów, który oprócz ogromnego doświadczenia może przekazać wiele historii, czy anegdot. Tu wtrącę małą uwagę, że tych „młodych” przed trzydziestką jest wśród nas mała garstka. Weryfikacja ma natomiast zapobiec gorszym scenom opisywanym później w internecie.

W czasie wspomnianego przeze mnie już kilka razy Spotkania Instruktorów padło następujące pytanie „czy instruktor posiadający doświadczenie musi wykazać aktywność wspinaczkową? Czy nie wystarczy, że szkoli?” Czegoś tu nie rozumiem. Jesteśmy nie tylko instruktorami, ale też członkami Klubów zajmujących się wspinaniem, a nie firm nastawionych na zyski.

Pozostała jeszcze w końcu unifikacja. Ta forma doszkalania jest nie tylko okazją dla wymiany wiedzy, ale również okazją dla instruktorów, którzy z różnych powodów mieli przerwę w szkoleniu. Mam nadzieję, że moje refleksje przyczynią się do poprawy klimatu panującego wokół szkolenia.

Letni sezon 2004 w Tatrach Polskich.

Artur Paszczak

Lato 2004 zapisało się w historii taternictwa jako jedno z najdziwniejszych, z jakimi mieliśmy do czynienia. Czerwiec, lipiec i początek sierpnia były po prostu beznadziejne – pojedyncze, lepsze dni były raczej „załamaniami nie pogody” i oddziaływały długie okresy opadów i niskich temperatur. W tych warunkach przejść było niewiele, a te, które miały miejsce, wymagały od ich autorów żelaznego hartu ducha i sporej dozy desperacji. Na północnych ścianach działać nie dało się wcale, a wśród odwiedzających tabory panowało przygnębienie i desperacja. I gdy wydawało się, że prędzej doczekamy się zimy niż ładnej pogody, nagle zapanowała „totalna lampa”. Od pierwszej połowy sierpnia do prawie połowy września, przez okres bez mała 6 tygodni, w Tatrach zagościło słońce, a wraz z nim przyjemne, letnie tempera-

tury. Ci, którzy mieli szczęście być wówczas w górach zapamiętali ten okres jako jeden z najpiękniejszych w swej wspinaczkowej karierze. I choć od czasu do czasu popadywało i nie wszystkie ściany zdołały wyschnąć (na początku września Kazalnica była jednak zupełnie w porządku), to w większości panowały warunki wręcz idealne. Dość powiedzieć, że 4 września na Kieżmarskim Szczycie było 26 stopni, a ściana była sucha jak pieprz, bez jednej mokrej plamki.

Hala Gąsienicowa

Działalność w rejonie „Gąsienicy” koncentrowała się tradycyjnie wokół zachodniej ściany Kościelca. Miało tam miejsce kilka wartościowych przejść jak np. *Proszę się wspinać V+*, *A2* (Łukasz: Kiecoń i Warzecha), sporo powtórzeń *Lobby Instruktorskiego* (w większości OS), były też nowe drogi. Najciekawszym dokonaniem była z pewnością droga-manifest Roberta Rokowskiego i Adama Pieprzyckiego *Co by Gosie powiedziały* (dla wyjaśnienia: Gosie to ich żony i nietrudno zgadnąć, co by powiedziały) o trudnościach VII-, *A2*. Linia biegnie tuż na prawo od w całości oringowanej drogi Piotra Drobota *Lobby Instruktorskie* i jak powiedział Adam: „chodziło nam o pokazanie, że można w tym miejscu zrobić drogę bez wiercenia”. Zorientowani twierdzą, że P.D. miał w planach zjazd tą linią z wiertarką...

W początkach września autorzy podjęli próbę odhaczenia, polegając w dalszym ciągu wyłącznie na asekuracji naturalnej instalowanej z prowadzenia. Próba nie zakończyła się jeszcze sukcesem, ale napotkane trudności wyniosły ok. IX.

28 czerwca Marcin Poznański i Marcin Dubik poprowadzili częściowo nową drogę/wariant pomiędzy *Drogą Gąsieckiego* a *Byczkowskim* o nazwie *Wariant prostujący* (3 wyciągi, VI, dobito kilka? spitów). Drugiego przejścia dokonał zespół w składzie Adam Tuleja - Paweł Ochman.

Marcin Poznański w towarzystwie Damiana Pietrzyka zrealizował na pn.-wsch. ścianie



Na drodze Orolina na pd. ścianie Wołowej Turnii.

Fot. M. Czyżewski



Obrosły *kut* na pd. ścianie Kieżmarskiego Szczytu.

Fot. R. Kołodziński

Świnicy drogę *Mury Jerycha*, w klasycznym stylu, o trudnościach V+ z miejscem VI.

Z kolei w czerwcu, na ścianie Zadniego Kościelca, niżej podpisany w towarzystwie Marka Fliśnika wytyczył linię o nazwie *Alien*, poprowadzoną bez użycia haków (styl „clean”) i wykazującą szóstkowe trudności. Pierwszego powtórzenia dokonali we wrześniu Radek Kołodziński i Paweł Strzelecki. Także w czerwcu powtórzenia doczekała się inna tamtejsza zeszłoroczna premiera *Nieustraszeni pogromcy wampirów V+* (Jania-Paszczak) w wykonaniu braci Stanisława i Tadeusza Kieniewiczów.

11 września zespół w składzie Marcin Poznański oraz Damian Pietrzyk poprowadził nową drogę na zachodniej ścianie Kościelca o nazwie *Koleba Korps*. Ta 3-wyciągowa wspinaczka (1. wyciąg 50 m IV; 2. wyciąg 45 m VII+/VIII-; 3. wyciąg 27 m VII-) została ubezpieczona ze zjazdu – spity oraz haki w trudnościach. *Koleba Korps* biegnie pomiędzy *Wariantem prostującym*, a

Byczkowskim. Jest to realizacja zeszłorocznego projektu, a wymagany sprzęt to 10 ekspresów i standardowy zestaw kości. 12 września ten sam zespół wsparty przez Pawła Ochmana poprowadził nową drogę na północnej ścianie Niebieskiej Turni. *Jak Malowany Ptak* oferuje 6 wyciągów oraz szóstkowe trudności (asekuracja z kości i friendów). Jak zaznaczają autorzy, drugi i ostatni wyciąg może częściowo pokrywać się wiodącą północnym filarem drogą H. Koniarka i J. Sawickiego z 1952 roku.

Przy okazji warto zauważyć, że spora część przejść umyka omówieniom z powodu braku książki wyjść na Kasprowym Wierchu. Być może byłoby dobrym pomysłem umieszczenie jej w stacji kolejki.

Dolina 5 Stawów Polskich

Tutaj, również tradycyjnie, ruch koncentrował się na pd. ścianie Zamarłej Turni. Dwie nowości (tak, tak, to jeszcze JEST możliwe) dodali znowu Michałek i Pieprzycki oraz Mariusz Nowak

i Marcin Szczotka. Pierwsza droga, *Tarnowskie Derby* biegnie środkiem płyt i jest jakby negatywem *Wolfa* (tudzież *Prawej Pilchówki*), a posiada trudności VI+, asekurowane jedynie przy pomocy najmniejszych haków, głównie jedynek. Co ciekawe, już doczekała się powtórzenia w wykonaniu wymienianego już zespołu Kiecoń-Warzecha. Druga nowość, o wiele mówiącej nazwie *Tradycja*, wiedzie wprost na słynny „dziób” Zamarłej. Zespół Nowak-Szczotka zmuszony został do użycia hakówki (A2, kilka bathooków), ale zapowiada nieodwołalny szturm klasyczny i to bez „poprawiania” asekuracji.

2 września niżej podpisany oraz Janusz Poróżyński pokusili się o dodanie jeszcze jednej, krótkiej acz treściwej linii, tym razem od strony pd.-wsch. *Łabędzi puch* rozwiązuje sporą część ściany pomiędzy *Motyką* a *Siedleckim*, a pokonanie OS trudności wyniosły ok. VII.

Morskie Oko

Niezwykle aktywny tego lata zespół Michałek-Pieprzycki podjął próbę powtórzenia *Metalliki*, zeszlorocznej sportowej nowości na wsch. ścianie Mnicha, zakończoną po 3 wyciągu. Zasugerowali podniesienie wyceny do VI.5 (IX+), a autorzy drogi także skłaniają się ku takiej korekcie.

18 sierpnia, na tej samej ścianie, Janek Wawrzyniak i Marian Balakowicz wytyczyli nową kombinację o nazwie *Orion 110* i wycenie VIII+/XI-. Natomiast oczekiwanego pierwszego powtórzenia RP *Metalliki* (choć w atmosferze pewnych wątpliwości co do stylu – przejście odbyło się na raty i z różnymi partnerami) dokonali inni wspinacze: Michał Waclawek z Marcinem Piestą. O drodze wyrażali się z szacunkiem i uznaniem, przychylając się również do korekty wyceny trudności. Kolejnego przejścia droga doczekała się w sobotę 11 IX. Paweł Kopta oraz Grzegorz Hajny przeszli ją w stylu RP w „układzie obowiązkowym” – tzn. z uwzględnieniem ogranicznika przy *Fereńskim*. Wszystkie wyciągi prowadził Paweł, stając się tym samym pierwszym wspinaczem, który poprowadził całą drogę „w ciągu”. Propozycja wyceny kolejnych długości to: IX, VIII, IX+, VIII+, VII+, VIII+.

Tuż obok *Metalliki* trwały boje nad *Misterium Nieprawości*. Zespół „Montano Tatry Team”: Andrzej Marcisz, Piotr Korczak i Tomasz Opozda, zmagali się z linią o szacowanych trudnościach w okolicach X-! Droga została ubezpieczona ze zjazdu i prawdopodobnie stanie się najtrudniejszym klasycznym pasażem w Polskich Tatrach Wysokich. Projekt padł ostatecznie w sobotę 11 września. Rzecz liczy sobie 110 metrów i wg autorów „nie ma nawet 2 metrów łatwego terenu!”, a według Piotra Korczaka ostatni wyciąg jest najtrudniejszym, jaki robił w górach. Poza tym tak opisuje drogę:

„Swoim charakterem przypomina *Metallikę*, tyle że przerasta ją trudnościami technicznymi. Pierwszy wyciąg jest tożsamy z trzecim od *Metalliki* i wycena jego ustaliła się na IX+ (mocne VI.5). Robiony jest obecnie bez owej feralnej rysy z *Fereńskiego*, przy której poprzednio tkwił ogranicznik z plastra. Drugi wyciąg to bardzo techniczny i wyważający trawers do kantu, stanowiącego prawe ograniczenie *Wachowicza*. Nim, przez system półek (wcale niełatwo), do rysy w otwartej ścianie i przez bardzo „krzywy okapik”. Robiliśmy go kilkakrotnie i za każdym razem prawie nas zrzucił. Ten wyciąg ma VIII+ (VI.3+ z całą pewnością). Tutaj droga krzyżuje się z *Wachowiczem*, robiąc obniżenie w odwrotną stronę i forsuje niezwykle przewieszzone zaciątko, później okap i wreszcie bardzo gimnastyczny filarek. Mimo hand restu nad okapem będzie to z pewnością IX. Kolejny wyciąg biegnie wzdłuż najłatwiejszego z *Metalliki* i jest to bardzo tarciove VIII- (VI.2+). Wreszcie *Żniwiarz Smutku*; ma z pewnością VI.5+. Nie chcemy jednak postawić kropki nad „i” – zbyt duża ciężka odpowiedzialność za sugestie X stopnia. W każdym bądź razie spędziłem tam dwa dni i jako żywo jest to solidniejsze niż np. *Prostowanie Odlotu*, mnie przypominało technicznymi trudnościami *Łowcę Dziurek*, ale to może subiektywne wrażenie. Droga ma wybitnie skałkowy charakter, chociaż znalazłoby się na niej kilka bardzo solidnych runoutów – na ostatnim wyciągu zostały one wymuszone brakiem możliwości wpinki – dwa razy wpinałem się w dół po przejściu trudności.”

Równie długa epopeja, trwająca na ścianie Kazalnicy Cubryńskiej, zakończyła się w niedzielę 12 września. Ponownie Marcin Michałek i Adam Pieprzycki stworzyli monstrialną direttissime o trudnościach VII, A3+, i długości 25-ciu wyciągów (plus 300 m łatwego terenu I-II). Wytyczenie linii zajęło autorom w sumie 10 dni walki i wiązało się z biwakami w ścianie. Nazwa *Czas Pogardy* nawiązuje do „stylowych sporów” i niech stanie się wyłączenie świadectwem przeszłości. Oto co o zmaganiach z drogą powiedział Adam:

„Droga jak droga, dla mnie była najbardziej wymagającą, jaką do tej pory robiłem. Poświęciliśmy na nią 10 dni rozłożone prawie na miesiąc. Pomysł, aby zrobić coś przez *Skrzydło*, *Tablice* i blok szczytowy tlił się nie tylko w moim umyśle. Początkowo myślałem, aby iść wariantem/próba Sieklucki-Polok, ale Marcin zaproponował przejście przez *Ostrogę*. Zeszłej zimy pooglądaliśmy sobie teren w okolicach *Cienia diabła*, a reszta wyszła ze zdjęcia Grzesia Głazka (wielkie dzięki Master Topo).

Przez pierwsze 5 dni poręczowaliśmy dolną część ściany. Pewnym ułatwieniem dla nas był jej „skośny” charakter oraz nasza jej znajomość (przecież nie taka mała) z poprzednich sezonów

letnio-zimowych. W drugiej części naszej „wymarzonej” epopei biwakowaliśmy w ścianie; w sumie 3 biwaki, z tym że po pierwszym biwaku wróciliśmy o 4 rano (już trzeciego dnia) na tabor, oszczędzając sobie opadu deszczu w ścianie.

Droga jest, co by tu nie mówić, wymagająca psychicznie i fizycznie. Po dwudniowych „szczytach” nie byliśmy w stanie iść trzeciego dnia się wspinać; ręce goiły się kilka dni, wymuszało to na nas odpoczynek z ewentualną rehabilitacją psychiczną w skałkach (przynajmniej ja). Mój schemat działania w drugiej części drogi był podobny: czwartek wyjazd do Moka, piątek-sobota wspinanie, ew. niedziela i powrót do domu. Poniedziałek, wtorek – odpoczynek, środa w skałkach i ponownie czwartek wyjazd do Moka...

Ponieważ droga powstawała w nie najlepszym stylu – z poręczowaniem i z użyciem hakówki (i niestety trzech spitów, w tym jednego przelotowego), CIĄGŁE mieliśmy w pamięci tekst pewnego redaktora pewnego Magazynu związanego z górami.

Jeżeli chodzi o trudności to jedyne, co mogę powiedzieć, to że jest to albo czujna klasyka, albo czujna hakówka, albo to i to. Klasycznie 7 (7- może), hakowo Marcin wyciąg przez okap na



Piotr „Szalony” Korczak i Andrzej Marcisz na *Misterium nieprawości*.

Skrzydło wycenił na A3+ ze względu na to, że nie mieliśmy skały porównawczej do A-czwórek, ale po jakości haków (i moim locie, który przez lornetkę przypadkowo widział Blondyn) i ogólnych odczuciach co do jakości haków, to może mieć więcej (chyba – a może i nie).

Co jeszcze więcej można

powiedzieć, trudność, strach jak na hakówce, marzenia o klasycie – aby było jej jak najwięcej, biwaki, zgubiony telefon, mielonka, kawa, herbata, rozgwieżdżone niebo z satelitami, Moko z wysoka, kawa, biwak w orlim gnieździe, piękna okolica zadniego/ukrytego ogródka, krótka zlewa na ostatnim biwaku ostatnie wyciągi klasycznie, trudna ryska, i SZCZYT – jakże się wtedy cieszyłem że to koniec, ale... też nie mogłem w to uwierzyć... Później zejście z WIELKIMI worami za Mnichem, miłe przyjęcie w TOPR-ówce, schodzenie asfaltem z worami, spotkanie Włodka...

A po zniesieniu tego wora trzy dni prawie nie mogłem chodzić...

Nie mogę też zapomnieć o śmierci Grzesia Skorka, któremu chciałbym w swoim imieniu zadedykować tę drogę... Anielski Orszak Niech Twą Duszę Przyjmie..."

Za wcześniej, by wyrokować, ale droga Michałka i Pieprzyckiego może okazać się jedną z najtrudniejszych technicznie tradycyjnych dróg w polskich Tatrach, a trudności sięgną ostatecznie nowoczesnego stopnia A4, bo autorzy znani są ze „skromności” w wycenach hakowych. Rzecz jest o tyle ciekawa, że dróg w stopniu A4 mamy zaledwie „sztuk jeden”. Mowa o *Wariancie Siekluckiego* na tej samej ścianie, który do tej pory nie otrzymał powtórzenia. Robert Sieklucki, pionier nowoczesnej hakówki w Polsce, stworzył ją po powrocie ze ścian El Capitana w USA, stosując arsenał najnowocześniejszych środków. Jeżeli wycena drogi Michałka i Pieprzyckiego zostanie jednak podniesiona, będziemy mieli do czynienia z pewnym psychologicznym przełomem, podobnym do rozterki autorów *Misterium*. Warto przy tej okazji wspomnieć, że pierwsze „nowofalowe” A4 powstało na Wielkiej Turni za sprawą Jana Muskata i Zbigniewa Zajaca. *Nauka haczenia* po 5-ciu powtórzeniach spadła już jednak do poziomu solidnego A3+, a nawet „wynaleziono” na niej wariant A2+.

Jak do tej pory działalność na Kazalnicy miała jedynie sporadyczny charakter i ograniczała się wyłącznie do klasyków. Jedynym wyjątkiem był nowy *Trawers Tetryków* autorstwa Jana Hobrzańkiego i „Bimona” Prószyńskiego. Najwyraźniej widać, że „tetrycy” mają się do-

brze, bo trudności są podobno wcale, wcale... Chapeaux bas!

Natomiast na zakończenie sezonu, 19 września, zespół w składzie Paweł Ziolo i Agnieszka Ostrzałek poprowadził w stylu RP *Kastratora* IX- na Młynarczyku, zaliczanym jak wiadomo do „szeroko pojmowanego” rejonu Moka. Z relacji autora wynika, że droga nie sprawiła mu większych problemów, a wyciąg IX- ocenił jako „przyjazny”. No cóż, o gustach i kolorach nie dyskutujemy...

Etyka.

Paradoksalnie, być może wielkim wkładem lata 2004 do historii taternictwa okazały się nie tylko przełomowe drogi spod znaku X- i A4, ale powstałe przy „granitowym stole” porozumienie dotyczące sposobu użycia spitów i ringów w Tatrach. Ten herkulesowy problem rozwiązano kompromisowo, proponując ograniczenie eksploracji w stylu sportowym do pojedynczych gór. Chodzi tu o Kościelca, Zamarłą i grupę Mnicha. Są to ściany, które zarówno swoim charakterem jak i faktycznym stanem eksploracji, niejako naturalnie weszły już w orbitę wspinaczki sportowej i propozycja grupy wspinaczy zebranych wokół największych autorytetów dzisiejszego taternictwa: Wojciecha Kurtyki, Andrzeja Marcisza, Piotra Korczaka i Jacka Fludera, usankcjonowała ten stan rzeczy. Na pozostałych ścianach zaproponowano przyjęcie rozwiązania, jakie od wielu lat stosowane jest w Alpach: prowadzenie dróg wyłącznie od dołu i ograniczenie wiercenia do niezbędnego minimum.

Niebagatelną sprawą jest też dostrzeżenie kwestii erozji niektórych dróg w wyniku nadmiernego stosowania haków. Odnosząc się do tego problemu twórcy porozumienia (pełen tekst poniżej) zaproponowali, aby nowo powołana fundacja o roboczej nazwie „Bezpieczne Tatry” zajęła się usunięciem tkwiącego w ścianach starego żelastwa, a na zniszczonych drogach umieściła ringi, w ten sposób przygotowując najpopularniejsze drogi do przejść bez stosowania haków. Jest to rozwiązanie, jakie z powodzeniem zastosowano nie tylko na licznych ścianach Alp, ale nawet na sąsiedniej Słowacji.

„Deklaracja Krakowska”

Tradycja ideologicznych dyskusji jest w naszym środowisku tak dawna, jak ono samo. Być może jest to jeden z elementów stanowiących o wartości taternictwa. W każdej dyskusji ścierają się poglądy przeciwnie, rodzą emocje, ale przecież sam fakt przystąpienia do niej stanowi akt uznania podstawowego prawa, jakim jest posiadanie przez każdego z nas własnych poglądów. Dopóki będziemy dyskutować, dopóty będziemy mogli mówić o sobie, że jesteśmy jedną społecznością.

Sprawa sposobu użycia punktów wierconych w Tatrach rozbudziła w zeszłym roku ogromne, choć narastające już od wielu lat, emocje. Postawiła też szereg pytań o istotę taternictwa, profesjonalizm i etykę, zakres praw autorów dróg do swoich dzieł, wreszcie o ochronę przyrody.

Nie czujemy się upoważnieni do udzielenia na te pytania jednoznacznej odpowiedzi. W żaden sposób nie możemy też uzurpować sobie prawa do narzucenia komukolwiek naszego punktu widzenia. Możemy jednak zwrócić się do tej właśnie społeczności, której częścią się czujemy, z prośbą o wysłuchanie naszego głosu. Apelu, który narodził się w toku autentycznej polemiki z udziałem przedstawicieli niemal wszystkich stylów i ideologii, a której niezbywalną częścią była kilkumiesięczna dyskusja na łamach prasy i forów internetowych.

Po długotrwałych rozmowach, bogatsi o doświadczenia ostatniego roku, pragniemy zaproponować następujące kompromisowe rozwiązanie:

W Tatrach Wysokich wyznaczmy ściany przeznaczone do eksploracji w stylu sportowym, tj. „od góry” i z użyciem wiertarki. Naszym zdaniem przeznaczonych do tego rodzaju działalności są:

- zachodnia ściana Kościelca
- Zamarła Turnia
- masyw Mnicha: Mnich, Mniszek i Ministrant

Proponujemy, aby poza wymienionymi rejonami realizowanie nowych projektów (nowych dróg i odhaczeń) odbywało się tylko „od dołu”, z zachowaniem zasady minimalizacji ilości punktów wierconych, zarówno ręcznie, jak i mechanicznie. Apelujemy, aby był przy tym uszanowany charakter istniejących dróg: ich specyfika (letnia/zimowa), wymagania psychiczne oraz rzeźba i estetyka.* W trakcie odhaczeń dopuszczalna byłaby instalacja punktów wierconych, ale w minimalnym i rzeczywiście niezbędnym zakresie.

Uważamy, że projekty nowych dróg, znajdujące się w zaawansowanej fazie realizacji, powinny zostać ukończone w stylu zależnym wyłącznie od decyzji autorów, bez względu na lokalizację. Chcielibyśmy także zaproponować powołanie fundacji „Bezpieczne Tatry”, której celem byłoby przygotowanie najbardziej popularnych dróg do przejść bez konieczności

wbijania haków i nadzór stanu asekuracji na tatrzańskich drogach.

Nie mamy wątpliwości, że nasza propozycja może wymagać uzupełnień. Dyskutować nie można jednak w nieskończoność, gdyż zawsze znajdzie się pomysł lepszy, będący wrogiem dobrego. Dlatego proponujemy: przyjmijmy nasz projekt na najbliższe lata. Zobaczymy, co przyniesie życie, i jak praktyka zweryfikuje z trudem wypracowane wspólne postulaty.

Z taternickim pozdrowieniem,

Piotr Drobot, Jacek Fluder, Wiesław Madejczyk, Andrzej Marcisz, Paweł Kopta, Piotr Korczak, Wojciech Kurtyka, Tomasz Opozda, Adam Pieprzycki, Artur Paszczak, Robert Rokowski, Marcin Szczęotka, Sebastian Wolny, Piotr Drożdż (Góry), Wojciech Stowakiewicz i Piotr Turkot (www.wspinanie.pl), Marek Libront i Mariusz Wilanowski (A/Zero)

Kraków, 12 czerwca, 22 sierpnia 2004

(*) Odhaczenia, w czasie których niezbędna jest instalacja punktów wierconych, stanowią z konieczności ingerencję w charakter drogi – sądzimy jednak, że stosując zasadę minimalizacji środków można ten wpływ ograniczyć do niezbędnego minimum. Sugerujemy także przyjęcie dobrego obyczaju, jakim byłoby uzgadnianie z autorami odhaczonej drogi (jeżeli jest to możliwe) planowanych zmian w rodzaju stałej asekuracji.

Od redakcji

Mamy wreszcie naszą „Deklarację Krakowską”, na którą polskie środowisko wspinaczkowe czekało od dawna!

Kilka lat temu podobne problemy, m.in. „czystości stylu”, nurtowały światową elitę alpinistyczną. Pięć lat trwały dyskusje i spory. W dniach 6-8 września 2002 r., w trakcie trwania Międzynarodowego Roku Gór, na zwołanej w Innsbrucku konferencji „Przyszłość Sportów Górskich”, około 100 czołowych wspinaczy i alpinistów świata podpisało dokument znany pod nazwą „Deklaracji Tyrolskiej”.

U nas trwało to znacznie krócej, ale gdy weźmiemy pod uwagę mikroskopijny obszar Polskich Tatr, którego porozumienie dotyczy, ilość wspinających się i ilość problemów, którymi się zajmowano, to okres kilku miesięcy może wydać się zbyt długi. Ale najważniejsze, że porozumienie już jest, choć utrzymane w formie apelu a nie nakazu (podobnie jak i „Deklaracja Tyrolska”), to nazwiska osób, które je podpisały, jak i długa lista tych, którzy je popierają, powinny stanowić gwarancje, że będzie przestrzegane. Redakcja „Taternika” także dołącza się do apelu: podnośmy poziom wspinania dbając o styl, nie mordujemy „niemożliwego”, zostawmy coś następcom, być może lepszym od nas...

Janusz Kurczab

Polski sezon w Yosemitech

Maciej Ciesielski



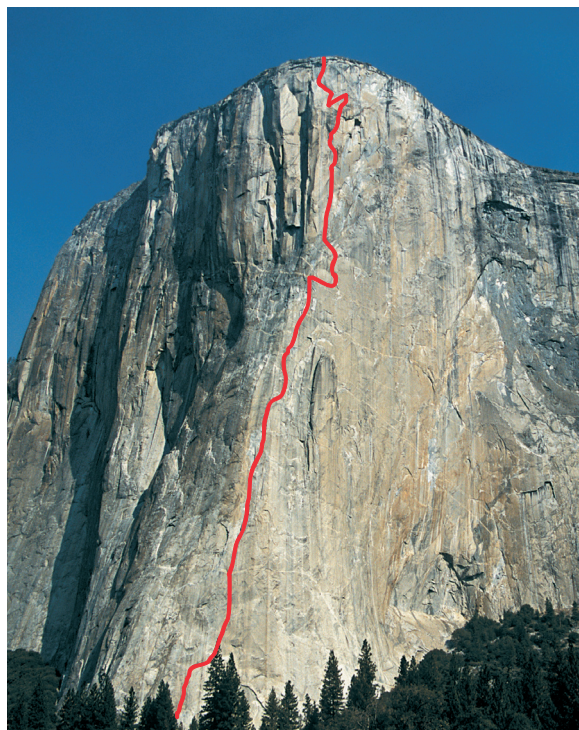
Yosemite to podobno miejsce do którego zawsze chce się wracać – i coś w tym jest – gdy opuściliśmy Dolinę dwa lata temu, w głowie kołatała mi się jedna myśl – muszę tu jeszcze wrócić.

Okazja nadarzyła się w tym roku, decydując się na wyjazd do Patagonii, musiałem się zdecydować na roczny urlop dziekański... jakoś ten czas trzeba było wykorzystać.

Problemy zdrowotne i finansowo/osobiste spowodowały, że skład ekipy ustalili się na parę dni przed wylotem. Ostatecznie, głównie poprzez pocztę elektroniczną, zdecydowaliśmy się na działanie w zespole Jacek Czyż (KW Rzeszów/Chicago), Tadek Grzegorzewski (KW Warszawa) oraz moja osoba – KW Poznań. Jako cel główny obraliśmy pierwsze powtórzenie słynnego w Dolinie *Central Scrutinizer*. Słynnego z dwójakiego powodu, po pierwsze autorem był sam wielki Steve Grossman (autor między innymi *Jolly Rogera* i *Tourning point* – ta ostatnia otworzona solo, bez powtórzenia), którego drogi mogą zaskoczyć wszystkim – zwłaszcza *Central Scrutinizer*, gdyż nie istniał schemat drogi, jedynie ogólny zarys na topo całej ściany. Po drugie, ciągle było jeszcze głośno o ostatniej, najbardziej zaawansowanej próbie powtórzenia drogi w wykonaniu miejscowych „mistrzów”, która miała miejsce 3 lata temu. Próba ta zakończyła się gdzieś w okolicy 7 stanowiska, a jedyną informacją po niej była powtarzana przez wszystkich konieczność użycia „tons of copperheads”.

Dolina powitała nas piękną wiosną, a Camp 4 polskimi znajomymi, gdyż w tym samym czasie działały tam następujące zespoły Andrzej Marcisz – Jacek Zaczkowski, Maciek Kubera – Paweł Federak, poza tym krążył „Wawa” Zakrzewski i polski rezydent w Kalifornii

Jacek Krawczyk. Na pierwszy okres działalności przypadają zdrowotne dolegliwości „dopadające” po kolei członków naszego zespołu. Okres ten wykorzystujemy na rozzwspinanie się w Yosemiteckim granicie, a zwłaszcza w tamtejszych rysach, gdyż z informacji, jakie do nas dotarły, wiemy, że na naszej drodze mają być wyciągi klasyczne o trudnościach sięgających stopnia 5.11. Jednocześnie Jacek Czyż – jakby nie było, jeden z najlepszych na świecie znawców tej ściany – wpada na pomysł wyprostowania *Central Scrutinizer*, aby powstała droga, która by w rzeczywistości, a nie tylko z nazwy, biegła krawędzią tzw. „nosem” ściany. W tym celu dokonujemy rozpoznania wolnej części ściany na prawo od linii *The Nose*. Niestety, przebiecie się przez pierwsze płytowe wyciągi wymagałoby wywiercenia zbyt dużej, według nas, liczby dziur pod rivety, dlatego decydujemy się tylko na powtórzenie drogi.



Droga *Central Scrutinizer* na El Capitan.

Fot. J. Czyż.

Topo: J. Kurczab na podstawie wyrysowania M. Ciesielskiego

Do ciekawszych powtórzeń z tego okresu należy zaliczyć pokonanie przez zespół Zakrzewski - Ciesielski drogi *Free Blast* (pierwsze 10 wyciągów *Salathe Wall*) 5.11b w stylu OS, raz A0 – prowadzący został dosłownie zwiany z płyty (co ciekawe, jest to dość częste). Miało to miejsce 25 maja, tego samego dnia zespół Zaczkowski - Marcisz dokonuje świetnego, najszybszego polskiego przejścia, najsłynniejszej drogi świata – *The Nose* VI, 5.9, C2 w niespełna 16 godz. Wcześniej, zespół ten pokonuje w 28,5 godz. (2,5 dnia) nie mniej słynne i piękne *Salathe Wall* VI, 5.9, C2 – jest to również najszybsze polskie przejście. Dla Jacka Zaczkowskiego *Nos* był już trzecim jednodniowym przejściem ściany El Capitana. Tego samego dnia w Yosemite ma miejsce ważne wydarzenie – Steph Davis pokonuje klasycznie, w jeden dzień *Free Rider*a VI, 5.13a, zapisując się w historii jako druga kobieta (po Lynn Hill i jej jednodniowym przejściu *The Nose*), która przeszła ścianę El Capitana w tym stylu.

Na początku czerwca najpopularniejszą wśród Polaków drogą staje się *Zodiac* VI, 5.9, C3R. Najpierw 23 godz (niespełna dwa dni) spędza na drodze zespół Grzegorzewski – Ciesielski, parę dni później po pięciodniowej wspinaczce (i zaliczeniu dwudniowego załamania pogody) na szczycie staje zespół Kubera – Federak. Podczas ich przejścia ma miejsce kolejne ważne wydarzenie – nowy niesamowity rekord – 1 godz. 51 min. na *Zodiac* u ustanawiają bracia Huberowie.

Około 7 czerwca, po nieskutecznych próbach zdobycia jakichkolwiek dodatkowych informacjach o *Central Scrutinizer*, decydujemy się na zaporeczowanie początkowych 7 wyciągów. Już od samego początku droga trzyma klasę, zdarza się, że na przejście paru metrów trzeba poświęcić kilka godzin. Ślady poprzedników są znikome, często są to jedynie stare stanowiskowe bolty wieńczące nadzwyczaj długie (średnio powyżej 50 metrów) wyciągi. Po poprowadzeniu piątego wyciągu i osadzeniu 18 „kaprawych” przelotów pod rząd, Jacek decyduje się podnieść jego wycenę na A4 – będzie to najtrudniejszy wyciąg na całej drodze.

18 czerwca, po wcześniejszym wciągnięciu na 7 stanowisko dwóch przeraźliwie ciężkich „świń” (wraz z wodą waży około 220 kilo), wbijamy się z Jackiem w ścianę, nastawieni na spędzenie w niej 10 dni. Spędzamy siedem. Droga okazuje się przepiękną linią, z magicznymi miejscami jak 17 stanowisko, które znajduje się dokładnie na przełamaniu całej ściany. Trudności mają charakter „ciągowy” tzn. długie wyciągi z wieloma miejscami sięgającymi stopnia A3-A3+. Oznaczone na

schemacie trzy wyciągi A4 okazały się trudne psychicznie (duże ruchome „flakes”), lecz mniej wymagające technicznie, dlatego ich wycena została przez nas obniżona. Dużym problemem, z którym musieliśmy się zmagać, były moje dość poważne problemy zdrowotne i brak dobrego schematu. Często nie wiedzieliśmy za bardzo gdzie się wspinać, często, czuliśmy się, jakbyśmy byli pierwszymi zdobywcami.

W późniejszych rozmowach ustaliliśmy, iż droga jest trudniejsza, ma większą klasę niż *Sea of Dreams* (kwestia wielu powtórzeń), lecz jest łatwiejsza od *Reticent Wall* czy *Jolly Roger*. Nie mniej, w czasach kiedy powstała, była jedną z najtrudniejszych propozycji na ścianie. Dla nas była to wielka przygoda, która cieszy tym bardziej, iż wśród gratulujących przejścia znalazł się sam autor *Reticent Wall* oraz 115 przejść El Capitana – słynny Steve Garberding.

Z powodu wcześniejszego terminu powrotu do Polski w tym ostatecznym „szturmie” nie uczestniczył Tadek Grzegorzewski, czas jaki mu pozostał do wylotu, wykorzystał na pokonanie w stylu OS wraz z Maćkiem Kubera *East Buttress* na El Capitanie – V, 5.10b, 11 wyciągów. Intensywnie wspinał się również „Wawa” Zakrzewski. Z jego ciekawszych przejść należy wymienić *East Buttress* na El Capitanie, jak i 8-wyciągową kombinację *Serenity Crack* (5.10d)+*Sons of Yesterday* (5.10a) – wszystko w stylu OS i wszystko w towarzystwie ładnej Irlandki.

Następny okres to długi odpoczynek po powrocie ze ściany. 8-godzinne zejście z 130 kilogramami bagażu zrobiło swoje, byliśmy z Jackiem totalnie wykończeni. Podjąłem wtedy decyzję – koniec z big wall'em, tylko szybkie przejścia na lekko, koniec z ciężkimi haulbag'ami. Efektem tego jest nasze (Zakrzewski - Ciesielski) niespełna 9-godzinne przejście *Zodiaca*'a w stylu VI, 5.11, C3. Jest to najszybsze polskie przejście, a drugie w tym roku, zaraz po fenomenalnym czasie Huberów. Co więcej, jest to prawdopodobnie na długi okres ostatnie szybkie przejście, gdyż zaraz po nim wyczyszczono dość skrupulatnie tę drogę z stałych przelotów. Jak dotąd oparła się ona nawet przejściom w normalnym, wielodniowym stylu. Podczas przejścia korzystaliśmy z tzw. „short fixingu” (prowadzący co jakiś czas, najczęściej na stanowisku, wpina na sztywno linę dla drugiego, a sam nieasekurowany zaczyna się wspinać dalej) i „back cleaningu” (prowadzący generalnie wspina się na trzech punktach, zostawiając sobie co jakiś czas przelot). Dużą ilość wyciągów przechodziliśmy klasycznie lub je chociaż częściowo „podklasycznialiśmy”

Wielkie ściany

Dzięki temu na 16-wyciągowej drodze spokaliśmy się na stanowiskach tylko dwa razy.

W tym samym czasie Jacek wspinał się z swym synem Maćkiem Czyżem, dokonali oni kilku ciekawych i chyba pierwszych polskich w takim składzie (ojciec - syn) przejść: *Free Blast*, do 5.10d OS (Prowadzenia Maćka), kilka razy A0 oraz *East Buttress* na El Capitanie, OS. Dla Jacka było to 18 przejście ściany El Capitana i jest to swoisty polski rekord.

Dalej nastąpiło gorące kalifornijskie lato, ja ze swoją lepszą połową – Kasią Okuszką udałem się do Colorado, gdzie wspinaliśmy się w położonym w Colorado Springs regionie piaskowcowych pał o trafnej nazwie *Garden Of Gods*. M.in. przeszliśmy tamtejszy klasyk – dwuwyciągową *Anaconda* 5.11c, RP. W tym czasie pojawiła się w Kalifornii Marta „Młoda” Czajkowska, która z różnymi partnerami, przeszła kilka ciekawych dróg. Najważniejszym jej przejściem jest powtórzenie w towarzystwie Davida Griffith'a, w 6 godz. słynnego *Astromana* 5.11c na Washington Column. Marta wspinała się też dużo w Tuolumne Meadows, tam na Fairview Dome, w tym samym towarzystwie przeszła: *Inverted Staircase* 5.11a, 300 metrów; *Regular Route* 5.9 i *Lucky Strikes* 5.11a, 250 metrów. Ważnym przejściem jest także I powtórzenie, w towarzystwie Davida, 6-wyciągowej *Anihilator* 5.11c.

My do Doliny wróciliśmy w wrześniu, z amb



M. Ciesielski i J. Czyż na drodze *Central Scrutinizer*.

Fot. T. Grzegorzewski

w przeddzień wylotu Wawy udało mi się wraz z nim, w 11 godz. 15 min. przejść 19-wyciągowe *Lurking Fear* VI, 5,7, C2 na El Capitanie – drogi nie znaleźliśmy. Jest to najlepszy polski czas na tej drodze, a także najlepszy w tym roku. Podczas tego przejścia również korzystaliśmy z „short fixingu” i „back cleaningu”. Poza tym przejściem, z ciekawszych dróg, wraz z Kasią udało nam się przejść w stylu OS kombinacje *Serenity Crack* + *Sons of Yesterday*. Zrobiliśmy również *East Buttress* na El Capitanie, OS jak i 4-wyciągowe *The Moratorium* 5.11b, OS. Ta ostanía droga jest znanym klasykiem, a nasze przejście – prawdopodobnie pierwszym polskim w tym stylu. Około 20 września podjąłem z zaprzyjaźnionym Brazylijczykiem – Nickiem, próbę szybkiego przejścia *The Shield* VI, 5.9, A2+, 33 wyciągi, jednak pierwsze tegoroczne załamanie pogody (opad śniegu) zmusiły nas do odwrotu. Jeszcze tylko parę wspinaczek w skałach – między innymi pada kolejny, tym razem off wide'owy klasyk *Ahab*, i czas wracać do domu.

Wyjeżdżając z Doliny znów myślałem tylko o jednym – kiedy tu będzie można powrócić...

Dla porządku wymienię jeszcze kilka przejść (w stopniu co najmniej 5.9), o których nie wspominam w tekście artykułu.

Wawrzyniec Zakrzewski (z różnymi partnerami):

Northeast Buttress na Higher Cathedral Rock – 5.9, 11 wyciągów OS;

Regular Route na Higher Cathedral Spire 5.9, 5 wyciągów OS;

Central Pillar Of Frenzy na Middle Cathedral Rock 5.9, 5 wyciągów OS;

East Buttress na Middle Cathedral Rock 5.10c, 11 wyciągów RP;

West Crack na Daff Dome 5.9, 5 wyciągów OS;

Crescent Arch na Daff Dome 5.10b, 5 wyciągów OS;

Oz i *Gram Traverse* na Drug Dome 5.10d, 6 wyciągów OS;

Jacek i Maciej Czyżowie:

Central Pillar Of Frenzy na Middle Cathedral Rock 5.9, 5 wyciągów;

Katarzyna Okuszko i Maciej Ciesielski:

Central Pillar Of Frenzy na Middle Cathedral Rock 5.9, 5 wyciągów OS;

Na zakończenie chciałbym serdecznie podziękować tym wszystkim dzięki którym tak długi pobyt w Dolinie Yosemite był możliwy:

- PZA i Powiatowi Kościan za wsparcie finansowe;

- Firmom: Robert's, Hannah i Lhotse za wsparcie sprzętowe;

- Firmie Montano, która od dłuższego czasu wspiera wszystkie moje wyprawowe projekty; W imieniu nas wszystkich Benicie i Jackowi Krawczykowi, za nieopisaną pomoc, jaką od nich podczas naszego pobytu w Kalifornii otrzymaliśmy.

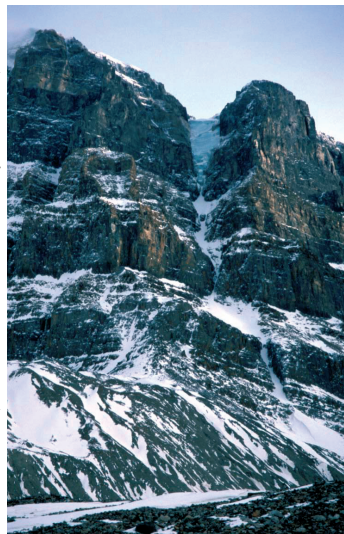
Kanadyjskie Góry Skaliste 2003/2004

Jak na ironię, pierwszym istotnym wydarzeniem letniego sezonu 2003 była lodowa wspinaczka w wysokogórskiej scenerii. Ale takie są kanadyjskie Góry Skaliste, w których lato jest krótkim epizodem niekończącej się zimy! Otóż w końcu czerwca młody zespół z Canmore w składzie Ben Firth, Greg Tkaczuk i Eamonn Walsh dokonał drugiego przejścia *Rights of Passage* (IV, 1000 m) na północno-zachodniej ścianie Mt. Kitchener w rejonie Columbia Icefields. Miejscowy as Eric Dumerac wraz z francuskim omnibusem Phillipe'm Pellet poprowadzili tę drogę jesienią 2002 r. Przejście wzbudziło zrozumiałe zainteresowanie, gdyż kluczowy odcinek przez przewieszzone seraki został oceniony na bezprecedensowy ósmy stopień trudności lodowych (WI 8). Trzeba zauważyć, że biorąc pod uwagę położenie i charakter drogi, jej wycena w skali AI (alpine ice, lód alpejski) byłaby bardziej odpowiednia niż w skali WI (water ice, lód wodny). Pozwoliłoby to może lepiej sklasyfikować przejście w kontekście wcześniejszych dokonań. Powtórzenie drogi nie usunęło wątpliwości co do oceny kluczowych trudności. Firth, który poprowadził przewieszzone partie jednym wyciągiem, ocenił wspinanie jako wymagające ciągłego wysiłku fizycznego, ale nietrudne psychicznie. Stąd wniosek, że nie może to być skrajnie trudne wspinanie lodowe, gdyż w lodzie trudności techniczne na ogół idą w parze z niebezpieczeństwem.

Pozostałe przejścia okresu letniego odbywały się w bardziej typowych warunkach. Pomimo, że listę lata 2003 wypełnia szereg nowych dróg oraz liczących się powtórzeń, jednakże nie ma na tej liście

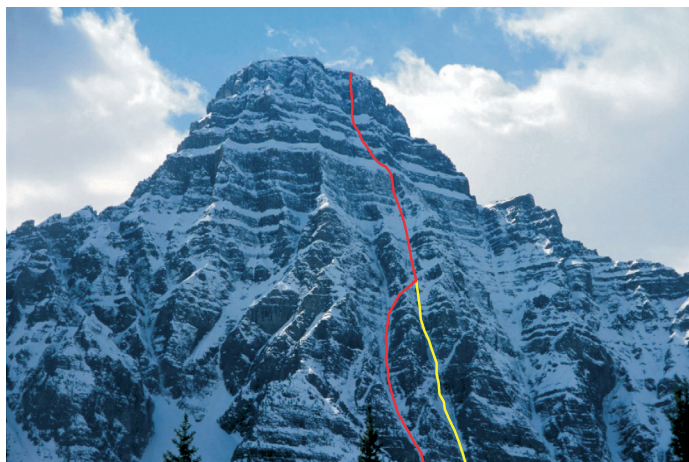
przejsć, które m o ż n a b y uznać za kamienie milowe we wspinaczkowej historii Gór Skalistych. Natomiast zima przyniosła pewne novum i zasługuje na nieco bardziej szczegółowe omówienie. Zima 2003/2004 zaznaczyła się przede wszystkim ożywieniem wspinania na wielkich ścianach alpejskich. Nawrót ten jest o tyle ciekawy, że można w nim dopatrywać się pewnej logiki: po okresie fascynacji nowymi formacjami (lód wodny, lodospady), a następnie rewolucji technicznej (wspinanie mikstowe, drytooling) i pogoni za ekstremalnymi trudnościami, przyszedł moment, żeby cały ten wypracowany arsenał techniczny i psychologiczny przenieść w duże góry!

Sezon zimowy otworzył duet z Nowej Anglii – Ben Gilmore i Kevin Mahoney. Była to śmiała próba grudniowa na *The Wild Thing* (VI, 1600m 5.9 A3 WI 5) na północno-wschodniej ścianie Mt. Chephren. Drogę rozpoczęli od prostującego wariantu w lodzie WI 5. Zabiwakowali poniżej komina A3, a następnego dnia zaatakowali klasycznie ten kluczowy odcinek. Udało się to niemal w całości, za wyjątkiem trawersu linowego po płytach, ocenionego na M6 - M7, bo „wszystko wydaje się trudniejsze w nieustannie schodzących pyłówkach” (K. Mahoney). Następnie przeszli jeszcze jeden wyciąg – w szalejącej już na całego burzy śnieżnej, zanim podjęli decyzję odrotu, z uwagi na wzrastające zagrożenie lawinowe.



Pn.-zach. ściana Mt. Kitchener

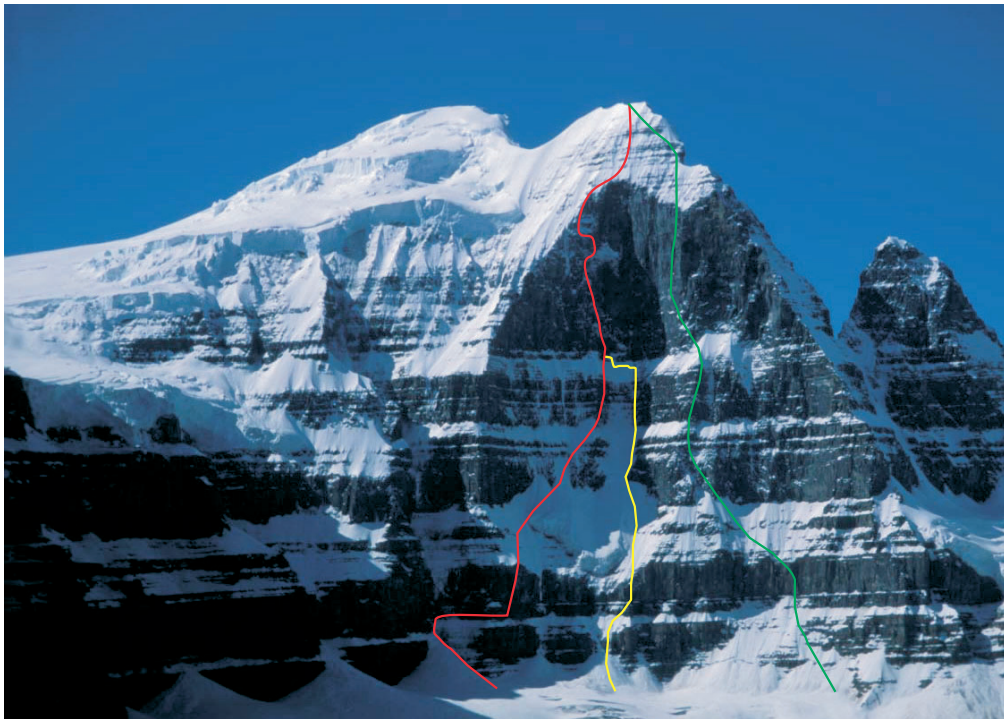
Fot. R. Sławiński



Droga *The Wild Thing* na pn.-wsch. ścianie Mt. Chephren. Oryginalna linia jest wyrysowana na czerwono, próba wyprostowania na żółto.

Fot. R. Sławiński

Wielkie ściany



Pn. ściana North Twin. Oryginalna linia Lowe-Jones jest wyrysowana na czerwono, wariant Prezelj-House na żółto, linia Cheesmond-Blanchard na zielono.

W lutym miejscowy przewodnik Dave Marra wraz z partnerem z USA T. Schnugg'iem przeszli drogę, będącą czymś pośrednim pomiędzy wspinaniem lodowym a alpejskim (1000 m WI 6), którą nazwali *For Father*. Znajduje się ona w depresji na prawo od słynnej linii Slipstream na Mt. Snowdome. Depresja ta jest zagrożona serakami z trzech stron, tak że wejście w nią wymaga znacznej determinacji. Marra i Schnugg rozpoczęli wspinaczkę lodową rampą o średnim nachyleniu. Doprowadza ona pod właściwą drogę, którą jest efektowna wstążka lodu, biorąca początek spod lodowej czapy szczytowych seraków. Łód, początkowo o umiarkowanym nachyleniu, staje się coraz stromszy, żeby poniżej końcowej bariery osiągnąć stopień trudności WI 6. Marra i Schnugg próbowali sforsować seraki, ale kiedy część ich zwała się, niemal strącając wspinaczy – zawrócili, zjeżdżając do podstawy ściany.

W lutym Ben Firth z Rafałem Sławińskim dokonali długo oczekiwanego pierwszego zimowego przejścia drogi *Greenwood – Locke* na pn. ścianie Mt. Temple, a w marcu, również na Mt. Temple, Sławiński i Babanow zaliczyli pierwsze przejście zimowe drogi *Robinson-Orvig* (szczegóły obydwu przejść – patrz „Taternik” Nr. 3/2004 s. 1). Ta ostatnia droga ta doczekała się (tuż po formalnym

zakończeniu sezonu zimowego) jednodniowego przejścia przez miejscowy zespół Scott Semple – Eamonn Walsh.

Być może najsilniejszym akordem sezonu stało się przejście północnej ściany North Twin w pierwszych dniach kwietnia. Pomimo, że już w sezonie wiosennym, ale w pełnej zimowej scenerii, Steve House i Marko Prezelj dokonali trzeciego przejścia ściany, a pierwszego w warunkach zimowych. Po dalekim domarszu zaporeczowali pierwszy wyciąg, żeby drugiego dnia dojść do wybitnej półki w dwóch trzecich ściany. Spadające kamienie, będące plagą w sezonie letnim, dzięki niskim temperaturom, nie zakłócały wspinaczki. Następnego dnia, używając mieszanki technik drytoolingowych i sztucznych ułatwień, rozpoczęli wspinanie kluczową ścianą drogi *Lowe-Jones* (VI, 5.10 A4), żeby po kolejnym biwaku osiągnąć szczyt. Marko i Steve na North Twin dali spektakularny przykład postępu w zimowej wspinaczce, przechodząc drytoolingiem większą część drogi, a na dodatek Marko wspiął się bez petli, wykorzystując w całej pełni swobodę ruchów i techniczne zalety stylu „leashless”.

Rafał Sławiński

W kanionach Taghii

Odkrycie w Atlasie i pierwsza polska wyprawa

Dawid Kaszlikowski

Po raz pierwszy usłyszałem o Taghii jakieś 8 lat temu. Podczas wieczornej gawędy jeden z miejscowych nomadów wspomniiał o wielkich ścianach, na których nikt się jeszcze nie wspinał. Podobno były dwa razy wyższe niż wąwóz Todry, gdzie właśnie siedzieliśmy. Nomada wspomniiał, że rejon ten jest ukryty gdzieś głęboko w środku Atlasu i mało kto tam dociera. Wtedy nie traktowałem jego słów zbyt serio, to w końcu była tylko luźna pogawędka z facetem który chciał nam sprzedać dywan...

Pod koniec roku 2003 Maurizio Oviglia wrócił z Maroka. W małym zespole, razem z Rolando Larcherem i Michele Paissan, pokonali klasycznie wielką ścianę Tadrarate. Dopiero wtedy o Taghii usłyszał cały świat. Droga Włochów była naprawdę trudna, 600 m powyżej francuskiej 7. Asekuracja?... Czasami była. Pod wrażeniem – też wszyscy byli.

W tym czasie zastanawiałem się nad kolejną wyprawą. Po ubiegłorocznej – otwierającej oczy – wyprawie na Alaskę wiedziałem, że znów chcę spróbować big walla, klasycznego big walla. Po kilku mailach od Maurizio i Arnauda Petita (z którym wymieniamy się newsami od wyprawy Ha-Long), już wiedziałem gdzie pojedziemy w tym roku...

Podniecony wizją niemal legendarnej wioski i wielkich ścian ukrytych gdzieś w głębi gór, rozpocząłem przygotowania. Szybki telefon do Borka Szybińskiego i już wiedziałem, że razem z Elizą Kubarską mamy sprawny i „wspinający się” zespół.

Zebrałem dobrej ekipy – po kilku wyprawowych obserwacjach – było dla mnie jedną z najważniejszych spraw. Dopiero po wielu latach i kilku gorzkich doświadczeniach, dotarło do mnie, że niestety, nie wszyscy wspinacze lubią się wspinać... Powiem więcej, okazało się, że wielu uważa się za wyprawowych „kingów” gdy tymczasem ich wspinanie istnieje głównie w wyobraźni lub w wirtualnej rzeczywistości Internetu. Ja tymczasem planowałem wyprawę w „realu”, dlatego zespół musiał być mocny. Poza tym musieliśmy przenieść na naszych plecach kilkadziesiąt kg nadbagażu, za które bezlitośnie podliczono nas na lotnisku.

Zabraliśmy właściwie wszystko, co może się przydać na wielkiej ścianie. Kilkaset metrów

poręczówek, portaledge, komplety alienów, w końcu – wiertarkę i komplet spitów, który miał wystarczyć na ubezpieczenie nowej klasycznej drogi. Potem okazało się że byliśmy przygotowani nawet „za dobrze”. Specyfika tamtejszej skały pozwoliła na użycie tylko kilku alienów. Friendy były praktycznie bezużyteczne, za to komplet psychożernych skyhooków cieszył się największą popularnością. Ale nic, nadmiar sprzętu był po prostu frycowym, jakie musieliśmy zapłacić za nasze pionierskie aspiracje. W Taghii mieliśmy pojawić się jako pierwsza polska wyprawa. Ale nie uprzedzamy faktów...

Szybki lot do Casablanki – najbrzydszego miasta świata, klimatyczny autobus i już za dni parę wyrzuciliśmy nasze wory ze szpejem prosto na zakurzony bruk Azilal. Jest to ostatnie miasteczko u wrót dzikiego Atlasu. Taghia leży jakieś 80 km dalej w głębi gór. Można tam dotrzeć albo na pacy wielkiej ciężarówce, która wyrusza z *souku* w czwartek albo – znacznie szybciej – landroverem. Szybkie negocjacje i już za kilka godzin powoli zmierzaliśmy w kierunku Taghii. Kierowca zdecydował się na nocną jazdę w góry dopiero po dłuższych namowach, choć od razu zapowiedział, że mogą być kłopoty. Podobno w górach od wielu dni padał deszcz za śniegiem, a droga mogła być nieprzejezdna.

Zrozumieliśmy o co mu chodzi dopiero, gdy na jednym z zakrętów jadący żółtym tempem landrover zaczął się zsuwać w kierunku przepaści. Po wielu godzinach dojechalśmy do końca drogi. Padał śnieg, a wokół czarna noc.

– „Zahouia Ahensal, stąd musicie iść już pieszo” – kierowca zrzucił nasze wory i odjechał.

Oviglia pisał mi o Zahouia, że jest to ostatnia, lepiej zaopatrzona wioska i tu trzeba wynająć muły. Taghia była już niedaleko.

Wraz z pierwszym światłem pojawili się Berberowie, od razu z mułami. Doskonale wiedzieli, że dziwni podróżnicy z wielkimi kremowymi worami zmierzają do Taghii. Po 8 km spacerze byliśmy na miejscu...

Mała wioska leży u zbiegu 3 kanionów (Akka n'Tazarte, Akka n'Taghia i Akka n'Kandate). Każdy z nich ma ok. 10 km długości, od 200 – 800 m głębokości, a w najwęższych miejscach tworzy tylko 2-metrowy przesmyk. Miejscowa

Wielkie ściany



Mosty na podejściu.

Fot. D. Kaszlikowski

ludność uprawia małe polatki przy pomocy prymitywnych narzędzi, poza tym hodują kozy i owce. Jeszcze dalej w głąbi gór wznosi się wielkie plateau które podczas letnich miesięcy jest domem wędrujących z Sahary nomadów Ait Atta. Podróżnicy, którzy wędrowali przez niedostępne zakątki Atlasu, porównują „klimat” tych gór do Himalajów.

Rejon Taghii został odkryty dla wspinaczy przez Manuela Punsola w 1974 r. Pierwsze poważne drogi wytyczyli tu Francuzi i Hiszpanie, którzy pokonali kilka ok. 600-metrowych ścian, wspinając się w zupełnej izolacji od świata zewnętrznego. W latach 90-tych sporadycznie działali tu alpinści hiszpańscy, którzy do wspinaczki używali techniki hakowej przechodząc drogi z biwakami w stylu big wall.

W ostatnich latach Taghia zwróciła na siebie uwagę dzięki śmiałym dro-

gom przebytym przez wspomnianych Włochów i Francuzów – Remiego Thivel, Christana Ravier, Arnaud Petita, oraz Hiszpana Toniego Arbonesa.

Jednak pomimo działań tych kilku zespołów, rejon pozostaje w dużej mierze dziewiczy. Ilość nietkniętych ścian właściwie nas zaskoczyła i trudno było się zdecydować, co robimy. Od pierwszego dnia rozpoczęliśmy szybki rekonesans i od razu mieliśmy 6 niesamowitych wielkościano- wych projektów. Dziś, w czasach gdy gęsta siatka dróg pokrywa niemal każdą ścianę, sytuacja taka jak w Taghii, jest absolutną rzadkością.

Początkowo najbardziej zachwyliła nas wielka Tadrarate (2,5 godz. od wioski), jednak ze względów logistycznych wybraliśmy bliższą ścianę na górującym nad wsią zębem Oujdad (2695 m). Dotarcie pod nią zajmowało nam ok. 1 godz., i zważywszy na teren, jaki musieliśmy pokonywać każdego dnia w drodze pod ścianę, oraz aurę, był to słuszny wybór. Dłuższe podejścia byłyby zabójcze.

Droga pod południową ścianę prowadzi wybitnie przepaścistymi szlakami, każdego dnia przechodziliśmy górskie ścieżki z możliwością 200 m upadku w głąb kanionów Taghii. Czy to w nocy czy w deszczu, jakoś trzeba było wrócić do wioski. Najciekawszym kawałkiem naszego szlaku były wiszące na ścianach mostki, zbudowane z narzuconych swobodnie kamieni i gałęzi. Mostki te w zamyśle pasterzy powstały tylko dla kóz, a ich pokonanie z plecakiem pełnym sprzętu było dość emocjonującym przeżyciem.

Nasz projekt był systemem pionowych i lekko przewieszonych płyt. Linia, jaką wybraliśmy,



Dawid na delikatnym trawersie 7c+

Fot. E. Kubarska

Wielkie ściany



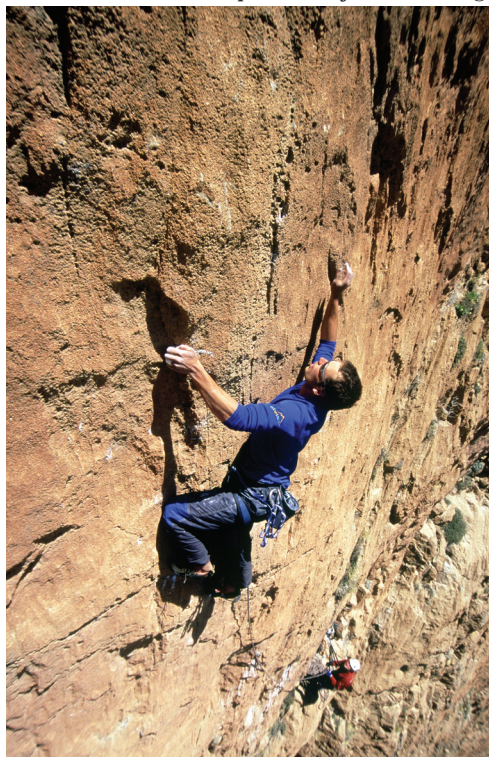
Widok ze wsi na Oujdad North.

miała rozwiązywać najbardziej gładki filar Oujdad. Wybór nie był łatwy. Po pierwsze, musieliśmy zapomnieć o kilku innych fantastycznych projektach (już w następnym miesiącu zabrał się za nie Arnaud Petit z Michelem Piola). Po drugie, naszym założeniem było wytyczenie linii klasycznej, stąd niepewność, czy „nasza ściana” nie będzie zbyt gładka i czy uda się ją zrobić czysto, czy zdążymy? To były nasze główne zmartwienia. Do czasu, aż pojawiły się następne.

Poprowadzenie od dołu wielkiej klasycznej drogi, która dodatkowo miała być wzorowo ubezpieczona dla następców (nasze kolejne założenie), w końcu oczyszczenie ściany, okazało się poważnym wyzwaniem. Przez ponad 3 tygodnie, na przemian z Borkiem i Eliza, przygotowywaliśmy kolejne metry ściany. Z każdym dniem byliśmy coraz bardziej wyczerpani: karkołomne podejście, małpowanie, haczenie, instalacja spitów. O innej asekuracji nie było mowy, na gładkich płytach haczyliśmy tylko dzięki skyhookom, teren był często tak czujny, że trudno było wspiąć się klasycznie od razu z wiertarką. Najlepiej wychodziło to Borkowi, desperacko zawieszał skyhooki na każdym dowolnym występie i zaczynał wiercenie. Oczywiście czasem „haczyki” się zsuwały, czasem po prostu drobne krawadki rozpadały się pod metalem i naszym ciężarem. Na szczęście lataliśmy tylko podczas przygotowań do wiercenia. Choć przyznam że moją główną fobią był lot w trakcie wiercenia otworu. Czy wiertło się złamie pod moim obciążeniem, czy rozwałę wiertarkę, czy ona rozwali mi głowę? Walczyłem nie tylko ze ścianą, ale także ze zbyt bujną wyobraźnią.

Co jakiś czas zasypywał nas śnieg, a strumienie, które zagradzały drogę w głąb kanionów, z każdym dniem się powiększały. Któregoś dnia zniknęły wszystkie kamienie, po których przeskakiwaliśmy na drugą stronę. Kiedy totalnie wyczerpany wracałem po kolejnym dniu wspinu, nie pozostawało mi już energii na zdejmowanie butów czy podwijanie spodni, wchodziłem do „rzeki” zanurzając się w niej po pas. Potem, ociekający wodą jak ranne zwierzę, wlokłem się przez ostatnie metry do

gościnnego domu Saida. We wsi pustki, w ciągu całego miesiąca pojawiły się zaledwie dwie grupy trekkingowe i kilku alpinistów. Wspomagaliśmy się nawzajem jedynie z ekipą hiszpańską (Tony Arbones z sukcesem próbował jednodniowego



Borek Szybiński na *Barracudzie*. Fot. D. Kaszlikowski

przejścia swojej drogi *Shucram*) i Francuzami (Arnaud Petit, Michel Piola, Stephanie Bodet).

Po 3 tygodniach byliśmy już poważnie wycieńczeni, przez cały okres wyprawy nękały nas zatrucia, które wydają się poważną wadą okolic Taghii. Właściwie każdy z bywających tu wspinaczy miał przejściowe problemy zdrowotne. Wydaje się, że jedyną receptą jest picie butelkowanej wody mineralnej i jedzenie posiłków przygotowywanych we własnym zakresie, co jest raczej trudne, jeżeli chcemy spędzić tu cały miesiąc. Niestety moje zatrucie przedłużyło się do kilku dni, co dodatkowo obciążało ostro działających Borka i Elize.

Ze zgrzyotą słuchałem wieczornych sprawozdań, podczas mojej choroby przeszli kolejne 3 długie wyciągi. Beze mnie!... Dłużej nie mogłem tego znieść. Następnego dnia miałem w końcu prowadzić. Niestety podczas heroicznej próby podejścia pod ścianę, przewróciłem się na ścieżce, i otulony przez Elizę, leżałem tam do wieczora. Nie byłem w stanie się ruszyć. Dopiero po kilku dniach choroba minęła.

Gdy skończyliśmy prace nad asekuracją, zapadła decyzja o całkowitej przeprowadzce na ścianę. Żeby oszczędzić trochę cennej energii, jaką każdego dnia traciliśmy na podejście, zawiesiliśmy portaledge ponad 5 wyciągiem.

Na ścianie spędziliśmy 5 dni, w międzyczasie Borek i Eliza zjechali raz po wodę i prowiant. Spaliśmy na jednym portalu i zawieszonym pod nim, małutkim hamaku, który przywozłem z Tajlandii. Nie wiedzieć czemu ani Eliza, ani Borek nie byli zadowoleni z nocy w nim spędzonych ☺.

Od pierwszych metrów wspinaczki stało się dla nas jasne, że robimy trudną drogę. Uklasycznione wyciągi na samym dole zostały wycenione na 6c+, potem było tylko trudniej. Większość wyciągów prowadziliśmy na pełną długość liny. Kawałek łatwiejszego wspinania czekał nas tylko w kopule szczytowej (ok. 100 m), poza tym ok. 500 metrów monolitu – to teren 7a – 7c+. Trudności, które na skałkach nie sprawiają nam specjalnej trudności, po miesiącu akcji i w takim nagromadzeniu okazały się testem wysysającym resztki sił.

Zmienialiśmy się na prowadzeniu i podczas ostatnich prób Borkowi przypadły najtrudniejsze wyciągi. Muszę przyznać że mi zaimponował. Po opatentowaniu 7 wyciągu oceniłem go (na własne potrzeby) na delikatne 7c. Po wykonaniu ciągu czujnych przechwytych na idealnie pionowej płycie, używając mały odciąg, musiałem wyjść na tarcie i strzelić wysoko do miejsca gdzie kończyło się lustro i pojawiała się jakaś rzeźba. W moim wykonaniu przechwyty ten był bardzo niepewny,

dlatego, z braku czasu, następnego dnia oddałem prowadzenie Borkowi. Co prawda wcześniej ubezpieczał ten wyciąg ale tak naprawdę nigdy nie próbował się po nim wspiąć klasycznie. Naparł więc właściwie bez znajomości. Eliza akurat asekurowała i w momencie, gdy Boro podszedł do mojego „strzału”, zapowiedziałem jej, że zaraz polecą. Nic z tego. Borek podeliberował trochę i zrobił to... statycznie. Wycena od razu poleciała w dół. 7b – licytował Boro, co wzbudziło mój sprzeciw i długą dyskusję o wysięgach...

Tak, czy inaczej, pozostał nam jeszcze najtrudniejszy wyciąg. Jego przebieg, który wyznaczyłem podczas spitowania, od początku budził nasze wątpliwości. Nie było pewności czy to w ogóle puści klasycznie. Jeden kawałek wydawał się niemal gładki i licytowaliśmy naprawdę wysoko. Padaly nawet podejrzenia że to może być 8b. Musieliśmy na nim spędzić dłuższą chwilę aby odnaleźć właściwą sekwencję i jedyną, akrobatyczną możliwość przemieszczania się między małąkami „wapirkami”. Mój patent prowadził tak mikroskopijną rzeźbą, że musiałem zaznaczyć stopnie magnezją i mocno wierzyć że stoję. Chwyty w cruxie miały ok. 3 mm szerokości i modliłem się, aby się nie odkruszyły w czasie prób, wtedy musieliśmy azerować co psułoby całą koncepcję big wallowej klasyki. W końcu po odhaczeniu wyciągu zapadła wspólna decyzja – dajemy VI.5. Powiedzmy – „czyste sześć pięć” ☺. Ocena i tak należy do powtarzających.

Gdy w końcu stanęliśmy na szczycie, przywitamy nas skłębione konary kilkusetletnich karłowatych drzew i morze mgieł. Właśnie nadciągało kolejne załamanie pogody. Tym razem się nie upiekło, zjeżdżaliśmy do portalu wyciskając z lin fontanny wody. Byliśmy przemoczeni i zmarznięci, a na dole czekał jeszcze jeden problem: wszystko przemokło. Portal nie był zakryty namiotem. Po prostu nie zabraliśmy go z kraju...

Ale to w końcu miała być Afryka, a nie jakaś kapryśna Patagonia...

P.S. Drogę nazwaliśmy *Barracuda* – bo jak jej rybia imienniczka – jest naprawdę ostra. Dosłownie i w przenośni. Ma ok. 600 m długości i do jej pokonania potrzeba podwójnej liny 50m. 15 ekspresów i 2 średnie friendly (dla lepszego samopoczucia).

Wyprawa nosiła oficjalną nazwę ALVIKA TAGHIA TRIP i była sponsorowana przez firmy ALVIKA, Marabut, Yeti i Hilti. Sprzętowo pomogli nam także Marcin Wernik, Paweł Olek, Wojtek Wiwatowski i Bodzio Kowalski. Serdeczne podziękowania!

Góry Europy – lato 2004

Jakub Radziejowski



Cima Ovest di Lavaredo z drogą Akut

Fot. i topo: J. Radziejowski

Tegoroczny sezon alpejski w wykonaniu rodaków można by określić jako „niespełniony” z jednym absolutnie genialnym dokonaniem. Chodzi oczywiście o przejście (prawdopodobnie drugie w pełni klasyczne) drogi Akut (8a, czyli... tak coś około X-) na Cima Ovest di Lavaredo, w wykonaniu Łukasza Müllera i Cezarego Modrzejewskiego. Zdaje się, że jest to najtrudniejsza (pod względem trudności klasycznych) wielowyciągowa, górską drogą, jaką kiedykolwiek pokonali Polacy! Sukces tym większy, że droga padła po wstępnym rozpoznaniu jedynie pierwszych pięciu wyciągów. Akut to 15 trudnych wyciągów, pokonanych w 13 godzin, przy nienajlepszej, „górskiej” asekuracji i sporej kruszyźnie.

Droga wiedzie prawą połącią północnej ściany Cima Ovest di Lavaredo i należy do najtrudniejszych w Dolomitach. Poprowadzona została w sierpniu 2000 r. przez Kurta Astnera i Urbana Tiesa. Ci sami wspinacze w rok później dokonali przejścia RP i ocenili drogę na 8a. Kluczowym miejscem jest 3-metrowy okap na 10 wyciągu.

Pierwszego zimowego i samotnego przejścia drogi dokonał Włoch Rolando Larcher w dniach

15-16 lutego 2004 r. Larcher był znany dotychczas głównie z pierwszego klasycznego przejścia direttissimi południowej ściany Torre Trieste („Taternik” Nr. 3-4/2003 s. 54). Larcher przeszedł Akut latem 2003 r. i stwierdził, że obowiązkowe trudności drogi nie przekraczają 7a. W czasie przejścia zimowego dojmujące zimno zmusiło go do korzystania ze sztucznych ułatwień, zdołał jednak dotrzeć do Biwaku Cassina, gdzie spędził noc. Następnego dnia przeszedł górną część ściany, w tym kluczowy okap, i ukończył wspinaczkę o godz. 17.

Biorąc pod uwagę coraz to poważniejsze drogi pokonywane przez członków polskiego zespołu, w przyszłym roku możemy chyba spodziewać się przejść jeszcze trudniejszych.

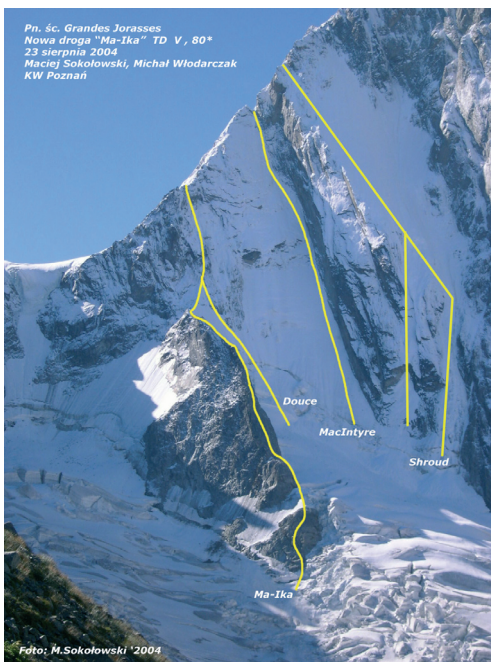
Trzeba też z pewnością wspomnieć w podsumowaniu o nowej drodze w lewej części północnej ściany Grandes Jorasses, zrobionej przez Macieja Sokołowskiego i Michała Włodarczaka. Droga znajduje się w najniższej części ściany tuż na lewo od Douce, z którą łączy się na ostatnich 200 metrach. Łącznie Ma-Ika ma blisko 900 „metrów biejących” oraz trudności TD (V, 80°). Czas przejścia 10 godz. Jest to trzecia polska droga na północnej ścianie Grandes Jorasses. Jednakowoż żadna z nich nie znajduje się niestety w centralnej części ściany – w rejonie filarów Walkera i Croza.

Z innych – bardziej interesujących „vystupov” – nie można nie wspomnieć o prawdopodobnie najszybszym polskim – klasycznym – przejściu Directe Americaine na zachodniej ścianie Petit Dru, w wykonaniu Bogdana Kowalskiego i Jacka Waclawczyka (10,5 godz.). Pokonanej oczywiście do szczytu, co jest o tyle istotne, że większość zespołów pokonuje tę drogę (variant?) „tylko” do tzw. zaklinowanego bloku w środku ściany, skąd zjeżdża do podstawy ściany. Torunianie swój sukces przypłacili całonocną walką o życie w burzy, jaka rozpoczęła się, gdy znajdowali się przy wierzchołku.

Poza tym bardzo ładnie powspinał się Jan Kuczera, który oprócz dwóch wymagających solówek, pokonał w zespole z Wojciechem Kozakiem między innymi drogę Carlesso-Sandri (VIII-) na Torre Trieste.

Warto też wspomnieć o działalności Polaków w Norwegii. Dwie bardzo długie drogi zrobił zespół Rober Burak, Jarek Bonk i Piotr Włodarczyk. Ta

Wielkie ściany



dłuższa czyli „filar Trolli” – to ponad 3 kilometry wspinania przy przewyższeniu 1600m. Droga zajęła im dwa dni przy 24 godzinach efektywnego wspinania. Jest to prawdopodobnie 3 lub 4 polskie przejście tej drogi. Pierwsze polskie przejście słynnego filara należy do Wandy Błaszkiwicz (później Rutkiewicz) i Haliny Krüger-Syrokomskiej (1968 r.), zaś opis dokonanego w 4 lata później pierwszego zimowego przejścia znaleźć możemy w świetnej książce Tadeusza Piotrowskiego „W burzy i mrozie”.

Raportowana pogoda w Europie tego lata rzadko zbliżała się do ideału, a permanentnie przysypane śniegiem duże alpejskie ściany skutecznie zniechęcały do podejmowania ambitniejszych wyzwań. Pozostaje mieć nadzieję, że w następnym sezonie pogoda przeszkadzać nie będzie.

DOLOMITY

Łukasz Müller, Cezary Modrzejewski: Cima Ovest di Lavaredo *Akut* (X-, RP, 550 m), 13 godz., II w pełni klasyczne przejście (?!), 16 sierpnia

Jan Kuczera, Wojciech Kozak: Torre Trieste, *Carlesso-Sandri* (VIII- flash/OS, 900 m), 10 godz., lipiec; *Cassin* (VII/VII+, flash/OS, 750 m), 11 godz., lipiec

Jan Kuczera (samotnie): Torre Venezia, *Tissi* (VI-, OS, 500 m), 8 godz., lipiec; Marmolada, *Don Quichote* (VI, 1xAF, reszta OS, 950 m), 8 godz. początek sierpnia

ALPY (rejon Chamonix)

Maciej Sokółowski, Michał Włodarczak: Grandes Jorasses pn. ściana, nowa droga *Ma-Ika* (TD, V 80 stopni, 800 m), 10 godz. 23 sierpnia

Bogdan Kowalski, Jacek Waclawczyk: Petit Dru, *Directe Americaine* (VII+, OS, 1000m), 10,5 godz.; *Premiere Pointe de Nantillons*, *Melissa*, *Metisse d'Ibiza/Guy Anne* (VIII, RP, 350m); *Tour Rouge*, *Dracula* (VII+, flash/OS, 350 m)

Łukasz Depta, Wojciech Kozub: Petit Dru, *Directe Americaine* (VII+, RP-bz, 1000m), 15 godz.; *Grand Capucin*, *Bonatti-Ghigo* (VIII-/VIII, A0, 400 m)

Wojciech Ryczer, Krzysztof Sadlej: Petit Jorasses, *Anouk* (VII/VII+, OS, 700 m), 6 godz., 1 sierpnia; *Tour Verte*, *Homologue Exceptionnelle* (VIII-, flash/OS, 200 m); 6 sierpnia

Marcin Szczotka, Sebastian Wolny: *Grand Capucin*, *Voie Suisse* (VII/VII+, OS, 350 m), początek sierpnia

Michał Dziedzic, Marcin Nowogródzki, Marcin Wernik: *Petit Jorasses*, *Anouk* (VII/VII+, OS, 700 m)

Paweł Fidryk, Michał Kasprowicz: *Mont Blanc du Tacul*, *Filar Gervasuttiego* (VI+ OS, oraz wariant A1, 800 m)

Marcin Wernik (samotnie): *Aiguille du Roc*, *Ambiance Eigerwand* (VI+, OS, 300 m)

Michał Kajca, Andrzej Sokółowski: *Aiguille du Peigne*, *Le Maillon Manquant* (VII/VII+, OS, 400 m), 12 sierpnia

ALPY (rejon Gran Paradiso)

Marek Fliśnik, Wiesław Madejczyk, Artur Paszczak, Zbigniew Warakowski: *Becco di Valsoera* (3369 m), *Mellano-Perrego* (TD, 6b, 650 m), I polskie p., sierpień

Alicja i Artur Paszczak, Arkadiusz Arak, Radosław Kołodziński: *Becco Meridionale della Tribolazione* (3360 m), *Pin-Up* (TD-, 6a+, 600 m), I polskie p., sierpień

Marek Flisnik, Wiesław Madejczyk: *Sergente*, *Fessura della Disperazione* (6b, 100 m)

NORWEGIA

Jarek Bonk, Robert Burak, Piotr Włodarczak: *Mongejura*, *Południowy Filar* (VII, OS, 1000 m), 22 lipca, 16 godz.; *Trollryggen*, *Wschodni Filar* (VII-, OS, 1600 m), 19-20 lipca, 22 godz.

KAUKAZ

Paweł Karczmarczyk, Adam Banaś: *Pik Szczurowskiego* (4259 m), Pn.-wsch. ściana, 5B

Paweł Karczmarczyk, Bernhard Foss (Niemcy): *Pik Szota Rustaweli* (4960 m) pn. ściana, 5B + trawers do *Dżangi Tau Wsch.* (5038 m)

Podsumowanie z pewnością nie obejmuje wszystkich tegorocznych polskich przejść w najpoważniejszych górach Europy. Niewątpliwie kilka ciekawych pomija, za co z góry przepraszam. Jednocześnie proszę o nadsyłanie szczegółów dotyczących Waszych dokonań alpejskich na adres redakcji.

Jubileusz Góry Gór

50 lat temu – 31 lipca 1954 r. – włoska wyprawa, kierowana przez Ardito Desio, zdobyła drugi szczyt świata K2 (8611 m). Na wierzchołku stanęło dwóch zawodowych przewodników – Achille Compagnoni z Courmayeur i Lino Lacedelli z Cortina d'Ampezzo.

Do Złotego Jubileuszu K2 najsolidniej przygotowywali się Włosi. Wyruszyły 2 duże zespoły, pod wspólną nazwą „K2 – 50 anni dopo” i wspólnym kierownictwem Agostino Da Polenza. Wcześniej – wiosną tego roku Włosi wysłali wyprawę na północną flankę Everestu, która zakończyła się pełnym powodzeniem – kilku uczestników bez tlenu weszło na wierzchołek. Po tym sukcesie, tym śmieiej zaatakowano K2 – i to dwiema drogami – pn. filarem i Żebrem Abruzzi.

Jeszcze jedna włoska ekspedycja zjawiała się pod K2. Była to dawno zapowiadana wyprawa zorganizowana przez sławny klub Wiewiórek (Scoiattoli di Cortina), którą kierował Stefano Dibona (honorowym kierownikiem był Lino Lacedelli, który tylko krótko przebywał w bazie). Równocześnie



K2 ze stoków Angelusa. Z prawej strony widoczna południowa grań - *Magic Line*.
Fot. J. Kurczab



K2 od wschodu, z przełęczy Skyang La

Fot. J. Kurczab

po południowej stronie K2 działało jeszcze kilka innych wypraw, w tym japońskich i hiszpańskich, m.in. baskijska o nazwie „Al filo de lo imposible”, której kierownikiem był Juan Oiarzabal.

Od 2001 r. nie odnotowano ani jednego wejścia na K2, nie żyła już żadna z kobiet, które były na szczycie. Wyglądało na to, że jubileuszowy sezon też okaże się pechowy, tym bardziej, że zaczął się od tragedii. 10 czerwca trzech koreańskich alpinistów, Lee Hwa-hyong, 36, Kim Jae-yong, 35, i Pae Kyong-kyu, 34, odnaleziono martwych w szczelinie 200 m poniżej miejsca obozu II (6600 m) na Żebrze Abruzzi, w którym spędzali noc. Leżeli w swoich śpiworach, przykryci warstwą śniegu. Wszystko wskazywało na to, że zostali strąceni przez lawinę. Wkrótce potem, 29 czerwca, po północnej stronie K2, w nurtach porywistej rzeki utonęło 5 tragarzy wyprawy włoskiej.

Większa z dwóch wypraw Agostino Da Polenzy, w której składzie znajdowała się również kobieta, Nadia Tiraboschi, rozbiła bazę na lodowcu Godwin Austen. Druga, mniejsza, usadowiła się na lodowcu K2 (Qogir), pod północnym filarem. W jej również uczestniczyła kobieta – jedna z najwybitniejszych alpinistek doby obecnej, Nives Meroi. Sam Da Polenza był już na wierzchołku K2 pn. filarem w 1983 r. Było to drugie wejście drogą japońską poprowadzoną rok wcześniej.

Po serii nieszczęśliwych wypadków nastąpił długi okres niepogody. Nie zachęcająco były również prognozy radia pakistańskiego. Włosi i Hiszpanie jednak podjęli działalność i zaczęli



Na *Magic Line* między 2 i 3 obozem.

Fot. „Expedición K2 *Magic Line*”

zakładać obozy, bardziej wierząc innym źródłom prognozowania pogody, które brzmiały raczej optymistyczne.

Viva Italia!

26 lipca wiadomość spod K2 zelektryzowała świat alpinistyczny: „Kłątwa K2 przełamana – właśnie nadszedł meldunek, że członkowie wyprawy włoskiej Silvio Mondinelli i Karl Unterkirchner weszli na wierzchołek K2”. Po 3 latach nieobecności na szczycie drugiej góry świata znów stanęli ludzie. Tego samego dnia o godz. 17.15 – zaledwie w 45 minut po wejściu pierwszej dwójki, na szczyt weszli kolejni Włosi: Walter Nones, Michele Compagnoni i Ugo Giacomelli. Koło historii się zamknęło – Michele Compagnoni jest wnukiem pierwszego zdobywcy K2, Achille Compagnoni’ego. 50 rocznica zdobycia została godnie uczczona! Tego samego dnia na wierzchołku znaleźli się również Baskowie: Edurne Pasabán (pierwsza Hiszpanka na K2),

Juan Oiarzabal, Juan Vallejo i Mikel Zabalza oraz Kastylijczyk Vicente Lagunilla. Pasabán i Oiarzabal schodzili ze szczytu bardzo wyczerpani i doznali poważnych odmrożeń. Oiarzabal, który był już drugi raz na K2, nie dotarł o własnych siłach do obozu – znaleziono go prawie nieprzytomnego. W zejściu pomagali obojgu uczestnicy wyprawy włoskiej.

Dzięki przychylnej aurze, w ciągu następnych dni na K2 wchodzono falami. Padły dotychczasowe rekordy: 43 wejścia w kolejne trzy lipcowe dni – 26, 27 i 28 – znacznie więcej niż poprzedni rekord całego sezonu (29 wejść w 1996 r.) oraz 20 wejść – w ciągu jednego dnia 27 lipca (dotychczas: 11 wejść w dniu 14.08.1996).

Również wyprawa klubu Scoiattoli świętowała zwycięstwo. Wśród piątki „summitersów” znalazł się Mario Lacedelli – bratanek drugiego ze zdobywców sprzed półwiecza. Oprócz niego na wierzchołku stanęli: Renzo Benedetti, Mario Dibona, Marco da Pozzo i Luciano Zardini.

Poza Włochami i Hiszpanami, na K2 weszli Szwajcarzy, Japończycy, Tybetańczycy (pierwsi obywatele Chin), Sierpowie, Pakistańczycy, a także – pierwszy Rumun, Horia Colisabanu oraz pierwszy Kolumbijczyk – Fernando Gonzales. 65-letni Hiszpan Carlos Soria z Madrytu został najstarszym zdobywcą K2.

***Magic Line* powtórzona**

W rejon K2 powróciła niepogoda. Krótki nawrót sprzyjających warunków wykorzystwała czwórka Japończyków, którzy 7 sierpnia, wraz z dwoma Sierpami, weszli na wierzchołek. Tylko jeden z nich nie korzystał z tlenu.

Tymczasem na południowej grani K2 – sławnej *Magic Line* – działała jeszcze jedna wyprawa hiszpańska, tym razem z Katalonii, kierowana przez Oscara Cardiach’a. Jej postępy były bardzo powolne i wydawało się, że zakończy się niepowodzeniem. Z kolei drogę baskijską (zwaną również drogą Cesena) obrała sobie za cel inna wyprawa japońska 4-osobowa „Dosanko K2 Expedition”, kierowana przez Masahide Matsumoto.

Warunki poprawiły się w połowie sierpnia. Do ostatecznego szturmu początkowo szykowali się Jordi Corominas, Oscar Cadiach i Manel de

la Matta, jednak ten ostatni zrezygnował z ataku szczytowego i zaczął wycofywać się. Corominas i Cardiach spędzili noc z 14 na 15 sierpnia w obozie szturmowym na wys. 8100 m – u podstawy t.zw. Casarotto Tower. 15 sierpnia dwójka Hiszpanów przeprowadziła rekonesans i dotarła do wys. 8300 m, po czym wróciła do namiotu. 16 sierpnia, o 4 rano obaj wyruszyli w kierunku szczytu, jednak zmęczony Cardiach wkrótce zawrócił. Corominas szedł bez tlenu i bardzo powoli zdobywał wysokość. O godzinie 14 do wierzchołka brakowało mu jeszcze 100 m w pionie. Końcowe metry, choć już nie trudne technicznie,



były mocno zaśnieżone i zabrały samotnemu Hiszpanowi aż 10 godzin. Corominas dopiero o północy dotarł na wierzchołek, gdzie znalazł ślady 2 Japończyków z wyprawy „Dosanko”, którzy odnieśli sukces tego samego dnia. To pomogło nieludzko zmordowanemu alpinistcie (od ponad 20 godzin w akcji bez tlenu) odnaleźć drogę do obozu IV na Ramieniu K2, gdzie czekali na niego uprzedzeni przez radio Japończycy. Po krótkim odpoczynku Hiszpan ruszył samotnie w dół Żebrem Abruzzi, rezygnując z asysty Japończyków, którzy zeszli drogą baskijską.

Tymczasem wycofujący się Cardiach w obozie III dołączył do Manela de la Matta i razem rozpoczęli zejście. U tego ostatniego wystąpiły objawy obrzęku płuc. Po dotarciu do obozu I na przełęczy Negrotto, chory nie był już w stanie kontynuować zejścia, jego stan stale pogarszał się i wreszcie w nocy z 18 na 19 sierpnia Manel zmarł.

Gorzkim, ale jednak ogromnym sukcesem zakończyła się ekspedycja Katalończyków. Droga południową granią K2, sławna Magic Line – najtrudniejsza droga na K2 – mimo kilku prób, nie została do 2004 roku powtórzona. Dopiero teraz świat poznał jej klasę i docenił wyczyn wyprawy polskiej, która w 1986 r. dokonała I wejścia (Piasecki, Wróż i Bożik). Ściśle mówiąc – Polacy skompletowali wejście, gdyż droga była już znana w ratach – składała się z zaawansowanej próby francuskiej (do 8450 m w 1979 r.) i końcówki drogi pakistańsko-japońskiej pd.-zach. ścianą (od 8450 m do wierzchołka w 1981 r.).

Jordi Corominas na 80 m przed szczytem K2. W oddali widoczny cień góry na mgłę.
Fot. „Expedición K2 Magic Line”

Uroczystości w Skardu

Oficjalne uroczystości z okazji Złotego Jubileuszu K2 odbyły się w Skardu i były znacznie skromniejsze, niż wcześniejsze o rok święto Everestu. Ponadto ceremonia opóźniła się z powodu przypadającego 31 lipca święta religijnego. Jak podała agencja Paknews, w ceremonii uczestniczyli zagraniczni dygnitarze, alpinisci, trekkerzy i turyści. Doliczono się ponad 3000 turystów i ok. 1300 trekkerów z całego świata. Z samych tylko Włoch przybyło ich 600. Skardu zostało udekorowane kolorowymi bannerami i plakatami. Najczęściej spotykany slogan to „Pakistan jest krajem bezpiecznym i jeszcze raz to udowodnił”.

Skardu i Cortina d’Ampezzo – miejsce urodzin Lino Lacedelli’ego, ogłosiły się miastami partnerskimi, jak to podkreślono, w celu dalszego umacniania więzi między Pakistanem i Włochami. Z okazji jubileuszu poczta pakistańska wydała znaczek okolicznościowy. Uehonorowani zostali także najlepsi alpinisci pakistańscy. Około 30 z nich, którzy byli na ośmiotysięcznikach, otrzymało specjalne odznaczenia i certyfikaty. Byli wśród nich m.in.: Ashraf Aman – pierwszy pakistański zdobywca K2 (1977) i dobrze znany Polakom Nazir Sabir, który ma na swoim koncie pierwsze pakistańskie wejście na Everest oraz nową drogę na K2 (1981).

Kronika gór wysokich 2003

Cz. II – Nepal – wiosna

Everest

Dla Nepalu rok 1953 był rokiem jubileuszowym – 50 lat wcześniej zdobyto Mount Everest. Pod Everestem też zgromadziły się tłumy alpinistów, a często i amatorów, którzy właśnie w jubileuszowym sezonie chcieli stanąć na czubku najwyższej góry świata. Tłumne miasteczka – po stronie nepalskiej nawet z kafejkami i sklepami – stały w miejscu baz, zarówno po południowej, jak i po północnej stronie masywu. Efektem tego było aż 266 wejść szczytowych. Najbardziej owocnym dniem był 22 maja 2003 r. Na wierzchołku Everestu stało wówczas 103 alpinistów! 66 osób weszło od Południowej Przełęczy zaś 37 – od północy. Ze względu na tłok, ostatni odcinek trasy powyżej południowego wierzchołka zabierał 3 razy więcej czasu niż normalnie. Przewodnicy kierowali ruchem jak policjanci na zężeniach dróg...

Bito również najrozmaitsze rekordy:

- Szybkości wejścia: najpierw Pemba Dorje z Beding w dol. Rolwaling (12 godz. 45 min.) a potem Lhakpa Gelu z Jubing w Solu Khumbu (10 godz. 56 min.);
- Ilości wejść – 42-letni Appa Sherpa z Namche Bazar osiągnął wierzchołek Everestu już po raz 13;
- Wiekowi – początkowo najstarszym uczestnikiem wejścia był Tomiyatsu Ishikawa (65 lat i 176 dni), później jego rekord poprawił Yiuchiro Miura (70 lat i 222 dni). Ten ostatni jest bardziej znany ze zjazdu narciarskiego z Południowej Przełęczy (z pomocą hamulca-spadochronu) i spektakularnego upadku ścianą Lhotse w 1970 r. Z kolei najmłodszą „summiterką” została Ming Kipa (15 lat i 18 dni). Musiała ona wchodzić od północy, gdyż najnowsze przepisy nepalskie zabraniają atakowania Everestu przez osoby poniżej 16 roku życia.

Ciekawostką było wejście na wierzchołek Everestu znanej włoskiej biegaczki narciarskiej i medalistki olimpijskiej, Manuelli di Centa. Nie mając wcześniej żadnych doświadczeń wysokościowych, została ona pierwszą Włoszką na najwyższym szczycie świata.

Tylko dwie spośród około 70 ekspedycji próbowało osiągnąć wierzchołek Everestu drogą inną niż normalna. Byli to Japończycy pod kierunkiem Kiyoshi Ishii, którzy na zachodniej grani dotarli do wys. ok. 7650 m, oraz dwuosobowa wyprawa z RPA – Ian Woodall i Cathy O'Dowd, która wycofała się z nowej linii na wschodniej ścianie z jeszcze niższej wysokości.

Jak na tę masę ludzi wspinających się na Everest, zaskakująco niska była ilość śmiertelnych wypadków. W sezonie wiosennym zginęły tylko 3 osoby. Niestety jedną z ofiar był Polak Krzysztof Liszewski. Pozostałe dwie to Szerpowie – jeden zginął na lodospadzie Khumbu a drugi zmarł na chorobę wysokościową. Do najtragiczniejszego wypadku, ale nie mającego związku ze wspinaniem, doszło w okolicy bazy, gdy rozbił się śmigłowiec MI-17. Zginęły 3 osoby a 7 zostało ciężko rannych, w tym jeden niemiecki turysta, który przypadkiem znalazł się w pobliżu katastrofy.

Nuptse

Dwaj mieszkający ostatnio w Kalifornii argentyńscy przewodnicy, bracia Damian i Willie Benegas znaleźli się w Zachodnim Kotle Everestu jako liderzy komercyjnej wyprawy na Lhotse. Sami nie brali udziału w wejściu szczytowym, lecz koordynowali działalność z obozu 2 (6350 m) w Western Cwm. Wyprawa zakończyła się suk-



Nuptse od pd.-zach. z Chukhung Ri. W środku widoczny pd.-zach. filar.

Fot. J. Kurczab



Hungchi (7036 m) ponad lodowcem Ngozumpa.

Fot. J.Kurczab

cesem zarówno dla ich klientów, jak i dla nich samych. Na ścianie Lhotse bracia wspięli się ze względów aklimatyzacyjnych do obozu 3 (7400 m), po czym wrócili i skierowali się w stronę ściany Nuptse. Na pn. żebrze Nuptse istniała już droga brytyjsko-francuska (Bettembourg, Hall, Rouse, Scott, 1979), prowadząca lewą, śnieżną flanką żebra. Droga ta, z pewnymi wariantami, miała już 3 powtórzenia. Bracia Benegas wybrali znacznie bardziej stromą i w dużej części skalną prawą flankę żebra. Na początku maja dwójka pokonała 4 trudne, lodowe i mikstowe wyciągi do niewielkiej grotty i zjechała, zostawiając część lin. 15 maja Benegasowie, idąc na lekko, podjęli przerwana wspinaczkę i pokonali 10 trudnych wyciągów w lodzie i pięknym pomarańczowym granicie. Podczas postoju, o godz. 2 w nocy, awarii uległa maszynka do gotowania, co zmusiło zespół do wycofania się. Większość sprzętu pozostawiono na miejscu.

Trzeci i ostatni akt batalii nastąpił 18 maja. Bracia weszli w ścianę, dźwigając tym razem

żywność na 3 i pół dnia, śpiwory i płachty biwakowe (zrezygnowali z namiotu). Mimo dobrej prognozy, pogoda pogorszyła się i zaczął padać śnieg. Spowolniło to tempo wspinaczki. Pierwszy biwak miał miejsce na wys. 6500 m, drugi – na 6700 m, a trzeci na 6950 m, już po wyjściu na śnieżną partię żebra. Do tego miejsca pokonano 22 wyciągi o trudnościach do 5.9, WI5 i M4. 21 maja Benegasowie dotarli na wys. 7100 m i zabiwakowali po raz czwarty. Pogoda nie poprawiała się i następnego dnia, mimo względnie łatwego terenu, dwójka zyskała tylko ok. 300 m wysokości. Na szczęcie dzień 22 maja wstał piękny (to tego właśnie dnia na Everest weszły 103 osoby) i tuż po południu Damian i Willie Benegas stanęli na głównym wierzchołku Nuptse (7861 m). Swoją nową drogę nazwali *The Crystal Snake*. Zejście drogą francusko-brytyjską, w dużej mierze ułatwione przez sprzęt pozostały po poprzednich wejściach, poszło im gładko i już o godz. 22 Argentyńczycy znaleźli się w Kotle Zachodnim.

Na pd.-wsch. filarze dziewiczego Nuptse East I (7804 m) drugą swoją próbę podjął Walerij Babanow, tym razem w towarzystwie Władimira Suwigi (jesienią 2002 r. wspiął się samotnie). Rosjanie dokończyli poręczowanie trudnych partii filara (do 6400 m) i rozbili obóz na wys. ok. 6700 m.

W tym czasie do akcji przystąpiła liczniejsza wyprawa włosko-austriacka prowadzona przez znanego himalaistę z Południowego Tyrolu, Hansa Kammerlandera. Popróbowali oni drogi na lewo od filara „zajętego” przez Rosjan. Ekipa Kammerlandera rozpięła liny poręczowe w dolnych partiach i założyli obóz na wys. 6900 m.



Khangri Shar (z lewej) i Pumori.

Fot. J. Kurczab

Pierwsi zaatakowali Rosjanie, jednak 10 maja musieli się cofnąć z wys. 7450 m. Zdecydowała niedostateczna aklimatyzacja, przenikliwe zimno i poważne mikstowe trudności przed nimi. Dwa dni później musiał się cofnąć również zespół Kammerlandera. Tym razem w końcowym szturmie przeszkodził silny wiatr. Później pogoda nie dała już szans obydwu zespołom i 20 maja opuściły one bazę.

W tym samym rejonie **Khumbu Himal** działano jeszcze na kilku interesujących niższych szczytach.

W grani ograniczającej od wschodu lodowiec Ngozumpa, stanowiącej również granicę z Tybetem, leży otwarty dla wypraw wiosną 2001 r. **Hungchi** (in. Gyuba Tshomotse, 7036 m). Obrała go sobie za cel wspólna wyprawa japońsko-nepalska. Kilku z Japończyków już jesienią 2001 brało udział w pierwszej oficjalnej, mocno zaawansowanej próbie zdobycia tego szczytu niełatwą pd.-zach. granią. Tę samą trasę obrano również wiosną 2003 r. Po wyruszeniu z Gokyo przetransportowano zawile uszczelnioną partię lodowca i ustawiono bazę pod urwistymi zboczami szczytu 5465 m, z pełnym widokiem na cel wyprawy. Początkowy plan taktyczny przewidywał poręczowanie przez nepalskich uczestników wyprawy, gdy Japończycy mieli transportować zaopatrzenie. Po rozstawieniu namiotów bazy wysuniętej, zaczęto pokonywanie znacznych trudności dojścia na właściwą grań. Obóz I (6100 m) stanął już na grani, nieco wyżej założono jeszcze 2 obozy (6200 i 6600 m). Alpinisci nie mogli posuwać się ostrzem urwistej grani, na jej wsch. flance napotymano pionowy lód, trudności skalne sięgały IV stopnia, trzeba było również stosować zjazdy na linie. Po zaporcęzowaniu skalnych partii powyżej obozu III, 19 kwietnia przeprowadzono atak szczytowy. Wśród wciąż znacznych trudności, o godz. 12,10, na ostrym wierzchołku Hungchi stanęło 3 Japończyków – Katsuo Fukuhara, Tadashi Morita i Kanji Shimizu, oraz 4 alpinistów nepalskich – Hitman Tamang, Ram Kaji Tamang, Santaman Tamang i Tul Bahadur Tamang. Szczyt okazał się nadszpodziewanie trudnym technicznie, w sumie musiano rozpiąć 4000 m lin poręczowych. Zaledwie w 5 dni później, II wejścia na Hungchi, przy wykorzystaniu poręczówek japońsko-nepalskich, dokonali Koreańczycy. Ich trasa była odmienna tylko w pierwszej części drogi – na grań wydostali się od pd.-wsch., z lodowca Gyubanare (in. Gaunar).

Działająca od strony tybetańskiej komercyjna wyprawa australijsko-islandzka pod kierownictwem Duncana Chessella miała pozwolenie

zarówno na Cho Oyu, jak i na eksplorację położonego na pn.-zach. masywu **Lapchi Kang**. Leżące tam trzy siedmiotysięczniki, w tym najwyższy – Lapchi Kang I (7367 m) – były już wcześniej zdobyte, jednak w ich otoczeniu można znaleźć kilkanaście dziewiczych szczytów powyżej 6000 m. Wyprawa postanowiła wykorzystać działalność w tym rejonie dla zdobycia lepszej aklimatyzacji. Zaopatrzeni na 2 tygodnie, alpinisci pomaszrowali dolinami na zachód, nie napotykając na ślady wcześniejszej działalności człowieka. Weszli na lodowiec, a następnie na przełęcz ok. 6400 m, gdzie rozbili obóz. W czasie 4-dniowej działalności wyprawa Chessella zdobyła dwa szczyty po obu stronach przełęczy, mierzące po ok. 6800 m. Zdobyta tam aklimatyzacja sprawiła, że wejście na Cho Oyu stało się już tylko formalnością. Australijczycy i Islandczycy jako ostatni zjawili się w bazie ale na wierzchołku byli pierwszymi w tym sezonie. Później poprobowali jeszcze wejścia na Shisha Pangma, jednak musieli wycofać się z wys. 7800 m.

Nowo otwarty przez władze nepalskie szczyt **Khangri Shar** (6811 m) leży w grani granicznej, na zachód od Pumori. Pierwszą znaną próbę zdobycia go przeprowadziła 9-osobowa wyprawa Japanese Alpine Club pod kierunkiem Masayoshi Fujii. Bazę założyono pod pd.-zach. flanką Pumori. Droga Japończyków prowadziła wsch. odnogą lodowca Changri Shar. Nad lodowcowym plateau wznosił się piękny skalny filar prowadzący środkiem pd.-wsch. ściany wprost na wierzchołek. Jednak Japończycy, z których większość przekroczyła już 55 rok życia, nie zdecydowali się na jego zaatakowanie. Wybrali, wydawałoby się, znacznie łatwiej dostępną przełęcz 6479 m, leżącą między Khangri Shar a Pumori. Dostępu do podnóża 200-metrowego stromego kuluaru, prowadzącego na przełęcz, broniły jednak ogromne szczeliny, których szerokość przekraczała 5 m. Japończycy nie dysponowali drabinami i zmuszeni byli wycofać się.

Brytyjczyk Nick Bullock poprowadził solo nową drogę *Love and Hate* na pn.-wsch. ścianie **Teng Kangpoche** (6500 m) – szczytu leżącego nieopodal Namche Bazar. Wcześniej, wraz z dwoma innymi rodakami J. Cartwright'em i A. Powell'em, próbował zdobyć znacznie trudniejszą, skalną pn. ścianę, liczącą 1500 m wysokości. Bullock po 2 dniach wspinaczki zachorował i cała trójka musiała wycofać się z połowy ściany. Podczas podjętej tydzień później drugiej próby Bullock wspiął się tylko z Cartwright'em. W ciągu jednego dnia osiągnięto najwyższy punkt poprzedniej próby, jednak pogoda załamała się. W końcu, po

2 biwakach, do wycofania zmusiły ich silne wiatry i niebezpieczeństwo lawin. Bullock po kilku dniach wrócił samotnie i tym razem zaatakował znacznie łatwiejszą mikstową pn.-wsch. flankę szczytu. Kuluarami śnieżnymi i terenem skalno-lodowym (szkockie V), po 13 godz. wspinaczki osiągnął wsch. grań i zabiwakował na wys. 6350 m. Bullock próbował wejść na wierzchołek, jednak grań okazała się mocno uszczeliniona i zbyt niebezpieczna dla samotnego wspinacza*.

Wśród szczytów położonych na wschód od Khumbu Himal, najbardziej owocną działalność można odnotować w masywie **Kangchendzöngi** (8486 m). Spośród 5 ekspedycji próbujących wejść na trzeci szczyt świata, tylko dwie odniosły sukces. W obu przypadkach wejść szczytowych dokonano w ciągu tego samego dnia – 20 maja. Tylko międzynarodowa wyprawa kierowana przez Ralfa Djumovitsa próbowała drogi brytyjskiej od północy (osiągnięto 7200 m), pozostałe wybrały klasyczną drogę z lodowca Yalung. Z wyprawy szwajcarskiej wierzchołek osiągnął tylko Kobi Reichen, który szedł ściśle drogą pierwszych zdobywców. Natomiast Włosi Christian Kuntner, Mario Merelli i Silvio Mondinelli wraz z Hiszpanem Carlosem Paunerem, dokonali wejścia częściowo nową drogą środkiem pd. ściany kopuły szczytowej (patrz „Taternik” nr 2/2004 s. 41).

Bardzo silna wyprawa szwajcarska w gwiazdorskiej obsadzie: Erhard Loretan, Frédéric Roux, Ueli Steck i Stefan Siegrist, próbowała szczęścia na pn. ścianie **Jannu** (7710 m). Szwajcarzy założyli bazę bardzo wcześnie – już w końcu marca. W dość sprzyjających warunkach 20 kwietnia udało się dotrzeć do wys. 7100 m. Wkrótce potem nastąpił wielki opad śniegu i pogoda pogorszyła się na tyle, że mimo ogromnej rezerwy czasu, dalszy postęp w ścianie nie był już możliwy.

Na położonym w centrum Himalajów Nepalu ośmiotysięczniku **Manaslu** (8167 m), z pięciu działających tam ekspedycji sukces odniosła jedynie międzynarodowa wyprawa Piotra Pustelnika. 17 maja na wierzchołku stanęła dwójka Polaków: Piotr Pustelnik i Krzysztof Tarasewicz (relacja z wyprawy: „Taternik” Nr 3-4/2003 s. 20).

Himlung (7126 m) to ładny lodowy szczyt w grupie Peri Himal, na granicy Nepalu i Tybetu, na zach. od Manaslu Himal. Zdobyty zach. granią przez Japończyków w 1992 r., przez niemal 10 lat był „zapomniany”. Ostatnio ten szczyt cieszy się rosnącą popularnością. Drugiego i trzeciego wejścia dokonały wyprawy francuskie w latach 2001 i 2002. Wiosną 2003 r. czwarte

wejście powiodło się wyprawie hiszpańskiej pod kierunkiem Inigo Loyoli. Poprowadzili oni nową drogę przez pn.-zach. ścianę. 18 kwietnia na wierzchołku stanęli Andoni Etxezerrera i Mixel Insausti a w 2 dni później ta sama sztuka udała się dwójce Ramon Iturrikastillo – Juan Jodar.

W położonej bardziej na zach. grupie Damodar Himal należy odnotować działalność siedmioosobowej wyprawy fińskiej, kierowanej przez Patricka Degermansa. Celem był jeden z nowo otwartych szczytów – **Putrung** (6466 m). Finowie zaatakowali pn.-zach. grań szczytu, jednak wycofali się 21 kwietnia z wysokości 6050 m.

Najciekawszym osiągnięciem w rejonie Annapurna Himal może pochwalić się japońska wyprawa, składająca się z absolwentów Meiji University – członków klubu alpinistycznego przy tej uczelni oraz Robata Club, którą kierował Atushi Yamamoto. Liczący już 80 lat klub postawił sobie za zadanie wejście na wszystkie ośmiotysięczniki. Tradycja klubu przedkłada tradycyjną wyprawową taktykę wejść grupowych ponad modne obecnie wejścia „light and fast”. Tym razem Japończycy pokonali brytyjską drogę na pd. ścianie **Annapurna I** (8091 m), wprowadzając na wierzchołek 5 alpinistów w dniu 16 maja. Był to ich ostatni, brakujący do kompletu, szczyt ośmiotysięczny.

Siedmioosobowa wyprawa czeska, prowadzona przez Pavla Trefila, obrała sobie za cel rzadko atakowany **Dhaulagiri II** (7751 m). Czesi próbowali powtórzyć japońską drogę z 1978 r., prowadzącą z lodowca Tsaorabong pd. ścianą na elegancką, stromą wsch. grań. Po kłopotach z dotarciem do bazy (musiano budować na nowo mosty i poręczować próg skalny), alpinści w stałe pogarszających się, lawiniastych warunkach śnieżnych, w ciągu 2 tygodni dotarli na wsch. grań na wys. 6700 m. 1000-metrowej wysokości kluczowa partia grani przedstawiała duże trudności lodowe o nachyleniu 50°. Wyprawa dysponowała jedynie 200 m lin poręczowych i niewielką ilością haków. Większość tego sprzętu została zużyta w drodze do bazy, toteż nie pozostawało nic innego jak wycofać się. Czesi stwierdzili, że bezpieczniejszy dla wejścia na szczyt byłby okres jesienny, ale z kolei – po monsunie można spodziewać się jeszcze większych trudności z przekraczaniem potoków.

*Północna ściana Teng Kangpoche była celem polskiego zespołu Wojciech Kurtyka i Marcin Tomaszewski jesienią 2003 r. Próba nie powiodła się wskutek złych warunków w ścianie.

Pik Pobiedy'2004

Marcin Miotk



Pik Pobiedy i lodowiec Zwiedoczka

Fot. M. Miotk

15 sierpnia 2004 r. w czternastym dniu od rozpoczęcia akcji górskiej zespół w składzie Marcin Miotk (KW Warszawa) i Jacek Teler (Pamir) osiągnęli główny wierzchołek Piku Pobiedy (7439 m), uznawanego za jeden z najtrudniejszych siedmiotysięczników świata. Tego trzeciego polskiego wejścia dokonali w stylu alpejskim (szybki atak na górę bez zakładania poprzednio obozów) drogą prowadzącą przez Pobiedę Zachodnią (6918 m).

W sezonie 2004 Pik Pobiedy, niezależnie od siebie, atakowały cztery polskie grupy. Dwie z nich: „Bergson Tien-Shan 2004 Expedition” (Kinga Baranowska, Krzysztof Borkowski, Marcin Miotk) oraz „Pamir” (Paweł Roherych, Jarosław Żurawski, Jacek Teler) już na etapie obozu bazowego połączyły siły w zmaganiach z Górą Zwycięstwa. Celem było dokonanie trzeciego polskiego wejścia, pierwszego w stylu alpejskim. Wybraliśmy drogę autorstwa Miedzmariszwili’ego, prowadzącą przez Przełęcz Dziki i Pobiedę Zachodnią (6918 m), która została wytyczona w 1961 roku.

Serak – dla ciebie wszystko

Założenie jedyńki poszło nam sprawnie, aczkolwiek przejście lodowca Zwiedoczka jest bardzo niebezpieczne. Szykowaliśmy się do przejścia seraka, który zagradzał drogę do obozu drugiego (5000 m). Nasza taktyka zakładała dwukrotny transport wyposażenia do dwójki, która miała służyć jako baza wysunięta. Nie zamierzaliśmy już do końca wyprawy schodzić niżej. 5 sierpnia

jeszcze po ciemku podeszliśmy pod serak. Należało go pokonywać bardzo wcześnie, bo słońce oświetlało go już o godzinie 6 rano, co skutkowało spadającymi bryłami lodu, sopłami, kamieniami. Serak miał w najtrudniejszym miejscu około 30 metrów pionu, czasami lekko przewieszono. Na pewno nie stanowiłby żadnego problemu, jednak ciężkie plecaki spowodowały, że tego dnia pokonaliśmy go tylko Jacek i ja. Dla reszty już nie starczyło czasu, mimo, że była dopiero 8 rano, należało jak najszybciej wycofać się z zagrożonego terenu. Skutek był taki, że dotarliśmy do dwójki nie mając palnika, który został w plecakach naszych partnerów. O ironio, gazu mieliśmy 8 kartuszy... Szybko wyjęliśmy czarny plastikowy



Na grani w drodze z Pobiedy Zach. do obozu 6.

Fot. M. Miotk

worek i przystąpiliśmy do topienia śniegu. W ciągu kilku godzin udało się nam zebrać dwa litrowe termosy. Picia wody z zagłębień karimaty nie zapomnę do końca życia. Całe szczęście, że był słoneczny dzień...

Ostatecznie 7 sierpnia byliśmy w komplecie w obozie drugim, poza Kingą, która musiała już wracać do kraju. Bardzo nam pomogła wynosząc wspólne rzeczy. Dzięki!

Jaka to melodia – lawina song

Wieczorem schodzący z obozu trzeciego Kirgizi poinformowali nas o lawinie pod Chan Tengri, w której podobno zginęło 10 osób. Byliśmy przerażeni, ponieważ zdaliśmy sobie sprawę, że wszystkie polskie grupy pod Chanem (Szczecin, Lubin, Bielsko) były właśnie wtedy w okolicach nieszczęsnej lawiny tj. powyżej obozu pierwszego. „Tylko nie oni, to niemożliwe” – takie myśli krążyły w głowie. Łączenie z bazą mieliśmy dopiero wieczorem – mogliśmy więc tylko czekać. To były najdłuższe 4 godziny w życiu. Okazało się, że mieli więcej szczęścia od swoich kolegów z Czech i Rosji. Wszyscy byli cali i zdrowi.

Przełęcz Dziki (5000 m) to wielkie śnieżne plateau, z którego bardzo dobrze widać całą północną ścianę masywu Pobjedy. Jej duża stromizna powoduje, że każdego dnia ścianą tą suną olbrzymie lawiny. Mimo, że nasze namioty były rozbite w bezpiecznym miejscu, każdy odgłos lawiny powodował, że wyskakiwaliśmy z namiotu w celu lokalizacji źródła tak przerażającego dźwięku.

9 sierpnia o trzeciej w nocy wyruszyliśmy do obozu trzeciego (5700 m). Mieliśmy nadzieję, że będzie tam dla nas miejsce w jamie śnieżnej, którą rozbudowała wyprawa niemiecka. Razem z nami podążali Rosjanie – „mastiery sporta” z Moskwy. Jeden z nich szczył się brakiem jednego palca w dłoni, który stracił przed dziesięcioma laty podczas ataku na Pobjedę drogą Abalakowa. Do jamy dotarłem po 3 godzinach, gdy pierwsze promienie słońca pojawiły się na horyzoncie. Miejsca starczyło tylko dla nas – Rosjanie musieli rozbijać namioty – jednak nie stanowiło to dla nich żadnego problemu – w ciągu dwóch godzin zbudowali solidne platformy, rozstawili namioty, które z kolei obudowali śnieżnym murem. Aż miło było patrzeć jak sprawnie im to poszło.

3 x 7000 – chwila prawdy

Następnego dnia rano pomimo tego, że huraganowy wiatr dalej nie dawał za wygraną postanowiliśmy z Jackiem wyruszyć w kierunku obozu czwartego. Liczyliśmy na to, że jak przestanie w końcu wiać będziemy w dobrym miejscu do ataku

szczytowego. Jarek z Pawłem mieli do nas dołączyć następnego dnia. Początkowo szło się bardzo ciężko, na przemian skalną grzędą oraz śnieżnymi polami. Duże zachmurzenie nie rokowało szybkiej poprawy pogody. Jednak ku naszemu zdziwieniu po osiągnięciu wysokości ok. 6200 metrów wydostaliśmy się ponad pułap chmur. A tam czyste błękitne niebo i jakby nieco lżejszy wiatr. Na wysokości ok. 6400 m założyliśmy nasz obóz czwarty. Już prawie zabraliśmy się za rozbijanie namiotu, gdy zauważyliśmy ledwo widoczną dziurę w śniegu – po dokładniejszych oględzinach okazało się, że jest to mała jama śnieżna – prawdopodobnie pozostałość z zeszłego sezonu. Była bardzo ciasna, ale zawsze lepsze to niż rozkładanie i zwijanie namiotu przy porywistym wietrze. Trochę obawiałem się kolejnych dni – niby czułem się dobrze na tej wysokości – ale teraz czekały nas co najmniej trzy noclegi w okolicach 7000 m. „A jeszcze dwa tygodnie temu byłem w Warszawie” – myślałem sobie.

Uwaga, 7439 m!

Poranek 13 sierpnia powitał nas wietrzną, ale stabilną pogodą. Postanowiliśmy nie wychodzić za wcześnie, – aby zminimalizować ryzyko odmrożeń, chcieliśmy wspinać się wyżej w słońcu. Na tej wysokości nie poruszaliśmy się szybko, skupiliśmy się raczej na tym, aby nie pogubić się gdzieś w partiach podszczytowych Pobjedy Zachodniej. Każdy z nas swoim GPS-em co jakiś czas znaczył drogę. Bardzo przydało się to w drodze powrotnej. Obóz 5 rozbiliśmy przy skałach tuż poniżej wierzchołka Pobjedy Zachodniej. Zgodnie z przewidywaniami głowa zaczęła boleć, ale wszystkie inne symptomy wskazywały, że jesteśmy w dobrej formie, apetyt dopisywał. Wieczorem połączyliśmy się z Jarkiem i Pawłem – właśnie szykowali się do spania w jamie w obozie poniżej.

Następnego dnia wczesnym popołudniem dotarliśmy do Obelisku – miejsca obozu szóstego (dla porównania - podczas zeszłorocznej wyprawy na ośmiotysięcznik Cho Oyu startowałem na szczyt z obozu drugiego – to pokazuje skalę trudności i długości drogi na Pobjedę). Bez powodzenia szukaliśmy długo jakiejś starej jamy śnieżnej. Rozbiliśmy więc namiot po stronie chińskiej, obudowaliśmy go murkiem śnieżnym i... zaczęliśmy się modlić, aby taka pogoda utrzymała się do jutra.

Nasze modły zostały wysłuchane i rankiem 15 sierpnia rozpoczęliśmy atak szczytowy na położony prawie 500 m wyżej główny wierzchołek masywu Pobjedy. Wspinaczka na szczyt była bardzo trudna, ponieważ biegła ostrzem nieubezpie-



Autor na wierzchołku Piku Pobiedy.

czony grani (na całej drodze na szczyt było tylko ok. 15 metrów starej liny poręczowej). Każdy nieuczony krok groził dwukilometrowym upadkiem na stronę kirgiską lub chińską. Pogoda dopisywała. W partiach podszczytowych teren był mniej stromy, ale za to bardziej skomplikowany orientacyjnie. Wreszcie po niecałych 4 godz. byliśmy na szczycie! Radość była ogromna. Dla Jacka była już to trzecia wyprawa na Pobiedę. Jego upór został wynagrodzony. Zapierające dech widoki na stepy Kazachstanu i pustynię Takla Makan wynagrodziły nam dotychczasowe trudy.

Powrót – najłabsze ogniwo

Kolejnego dnia zesłaliśmy do obozu na przełęczy Dziki, gdzie zabraliśmy nasz depozyt. Nie mogliśmy tego dnia schodzić niżej, ponieważ drogę zagradzał nam serak, który mogliśmy pokonać tylko bardzo wcześnie rano. Wreszcie 18 sierpnia około 2 w nocy zwiniliśmy obóz drugi i ruszyliśmy w kierunku bazy. Lodowy serak pokonaliśmy dość sprawnie. Przed nami pozostało tylko (albo raczej aż) pokonanie lodowca Zwiedoczka. Poranny opad śniegu zakrył wszystkie poprzednie ślady – musieliśmy sami szukać drogi między szczelinami. Lodowiec zmienił się nie poznania w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Już nie był śnieżno biały, tylko szary. Małutkie wcześniejsze strumyki zamieniły się w górskie rwące rzeki, które musieliśmy pokonywać brodząc po kolana w lodowatej wodzie. Najbardziej denerwujący był fakt, że na horyzoncie widzieliśmy już bazę, a prawie wcale się do niej nie zbliżaliśmy. Obchodzenie wielkich szczelin powodowało, że pomimo ciągłego marszu postępy były nikłe. Zmęczenie coraz bardziej

dawało się nam we znaki. Prawie 40 kg plecak dosłownie wciskał w podłóżę, a na domiar złego pogoda zaczynała się psuć. „Jeszcze trochę, już niedługo, dasz radę” – tylko takie myśli przelatywały przez głowę. Wreszcie po prawdziwym slalomie między szczelinami wydostaliśmy się na morenę boczną. Mimo, że pozostało jeszcze sporo drogi, z nową energią pogналиśmy do bazy.

Fot. J. Teler

Jarek i Paweł też dokonali dużej rzeczy: dotarli na wierzchołek Pobiedy Zachodniej, gdzie spędzili noc. Dla porównania – większość wspinaczy atakująca w tym roku Pobiedę dotarła tylko do wysokości ok. 6000 m. Zdajemy sobie z Jackiem doskonale sprawę, że nasz sukces to w dużej mierze zasługa całej wyprawy. Kinga, Krzysiek, Jarek, Paweł – bardzo Wam dziękujemy!

W tym sezonie dokonano tylko dwóch wejść – drugiego dokonał zespół dowodzony przez utytułowanych przewodników kazachskich (każdy na koncie po kilka ośmiotysięczników). Jednak nie udało im się w komplecie powrócić do bazy – w zejściu zginął turecki alpinista.

Everest – szansa na sukces

Kilkukilometrowy labirynt szczelin lodowca Zwiedoczka, wspinaczka przez pionowe lodowe seraki, czterokilometrowa grań na siedmiu tysiącach metrów, eksponowana, nieubezpieczona grań szczytowa, konieczność założenia aż sześciu obozów – to wszystko sprawia, że Pik Pobiedy szybko weryfikuje umiejętności każdego alpinisty. Ale warto próbować – to przepiękna i niepowtarzalna góra.

Wielu znajomych ciągle pyta: co dalej? Jaka następna góra? My już od dawna wiemy, marzymy, pragniemy. Odpowiedź brzmi: Polish Everest Expedition 2005. Trzeba wierzyć, że się uda: zorganizować, pojechać, wejść i wrócić! Jak oceniamy nasze szanse? Jesteśmy ostrożnymi optymistami. Oby dopisała pogoda...

W Garhwalu działo się...

Dwójką na filarze

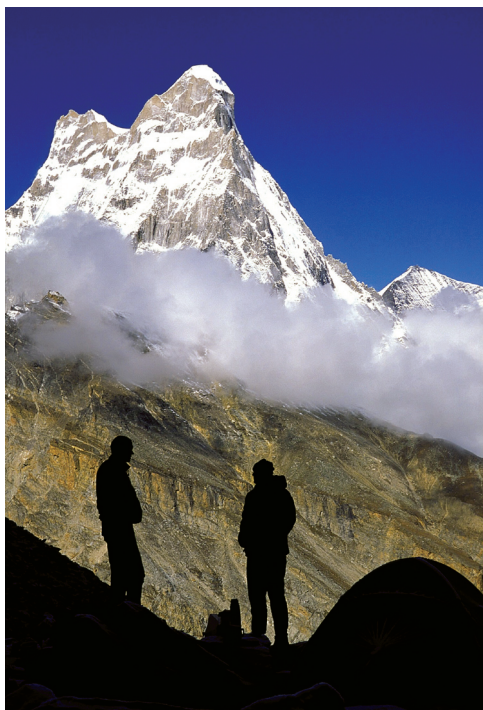
Był to jeden z najśmielszych, a pod względem stylu najpiękniejszych wyczynów himalajskiego roku 2004. Wiele lat temu Georges Bettembourg powiedział, że zachodnia ściana Bhagirathi III to jest El Capitan ze stojącą na nim północną Droites. Tym razem chodziło o wejście stylem alpejskim i bez sztucznych pomocy (RP) prawym filarem zachodniej ściany Bhagirathi III (6454 m), jednak nie drogą szkocką (V-VI/A2), lecz wprost skalnymi krawędziami filara, z widokami na „dzwon” zachodniej ściany. Dokonali tego wejścia 39-letni Walter Hölzler z Allgäu i 30-letni Jörg Pflugmacher z Garmisch Partenkirchen. Była to trzecia próba Hölzlera na tej formacji – poprzednie nie powiodły się w latach 2000 i 2001. Filar ten oferuje 1,5 km wspinaczki o trudnościach do 8+/9-, 30 wyciągów nie licząc stromych lodowych i śnieżnych partii szczytowych. Spity używane były tylko na stanowiskach i wiążących biwakach, a także w parunastu punktach wyłącznie do asekuracji, skała bowiem na ogół umożliwiała posługiwanie się kostkami. Po parodniowej obróbce dolnych wyciągów, 10 maja Niemcy rozpoczęli definitywny atak, w ścianie spędzili 9 dni, 5 nocy w oparciu o portaledge. Do sztucznych środków (tylko kostek) sięgnęli na 2 wyciągach. 19 maja skrajnie wyczerpani osiągnęli szczyt w mgłę i niepogodzie – powrót nastąpił tą samą drogą w ciągu półtora dnia. Swoją drogę nazwali „Drabiną do Nieba”. Nie brakowało przygód. Do cięższych należała strata buta Hölzlera, niezbędnego do dotarcia do szczytu. Spadł on przeszło 200 m i wspinacze musieli po niego zjechać. Podczas powrotu zjazdami, w ciemnościach i wietrze Pflugmacher zaplątał się w liny i o mało się nie udusił. Ciekawostką jest też, że prowadzenie na całej drodze wziął na siebie Walter Hölzler, który swój pomysł i długoletnie marzenie chciał mieć całkowicie na własność. Pamiętać też trzeba, że ekstremalne trudności pokonywane były na wysokości 5000 – 6400 m, gdzie płucem już naprawdę brakuje tlenu. Sukces wysokościowo-ekstremalny wysokiej klasy!

Jożef Nyka („Gazeta Górska”)

Jesienna próba na Filarze Szkockim

We wrześniu na Bhagirathi III (6454 m) działała polska wyprawa w składzie: Arkadiusz Grządziel, Tomasz Szumski (obaj KW Jastrzębie), Krzysztof Skoczylas (KW Bielsko-Biała) oraz Bogusław Kowalski (KW Toruń). Celem naszym był południowo-zachodni *Filar Szkocki* (5.8, A2, lód 45°/60°) poprowadzony w 1982 roku przez Allena Fyffe'a (znanego u nas jako współautora „Podręcznika Wspinaczki”) oraz Boba Bartona. Dotychczas tę prawie 1400-metrową drogę pokonało pięć zespołów.

Przy dobrej pogodzie przetransportowaliśmy cały bagaż do bazy wysuniętej (ok. 5000 m). Następnie musieliśmy donieść sprzęt pod ścianę kolejne 300 m wyżej – trawersami w bardzo nieprzyjemnej kručzej i mokrej skale. I gdy wszystko już było gotowe, załamała się pogoda. W drugim dniu oczekiwania dotarli do nas Krzysztof Belczyński i Marcin Tomaszewski. Byli zawiedzeni – ich wymarzonego *Shark Fine'a* zajęli Japończycy, więc postanowili obejrzeć możliwości na „słynnej” niepoprowadzonej *Sieklucówce* :) na Bhagirathi IV. Następnego dnia wyszło słońce i z nadzieją obserwowaliśmy jak na naszym filarze topnieją śniegi i wysycha skała. W tym czasie



Baza z widokiem na Shivling.

Fot. T. Szumski

Góry Wysokie



Zach. ściana Bhagirathi III. Z prawej *Filar Szkocki*, po lewej dziewicza ściana Bhagirathi IV.

Fot. T. Szumski

Marcin z Krzyśkiem wykonywali skomplikowane obliczenia – ich sprzęt był pod Meru – transport, wspinanie, kopuła szczytowa, powrót, karawana i... cały czas brakowało im czasu. W końcu całkowicie zrezygnowali ze wspinania.

19 września wbiliśmy się w ścianę, to znaczy Tomek z Krzyśkiem mieli pociągnąć pierwsze kilkaset metrów. Moje uwagi co do źle wybranego początku drogi zostały zlekceważone :) i przez to udało nam się pokonać dolne partie drogi Hölzlera (patrz notatka wyżej). Drugiego dnia mieliśmy dostać się pod monolit, gdy przejąłem prowadzenie okazało się, że warunki są ciężkie. Szczeliny były zalodzone i mimo słońca panowała dość niska temperatura. Trzeciego dnia doszliśmy do *Flake'a* (przewodnik Babicz), który Tomek pokonał mimo bardzo niskiej temperatury i opadu śniegu. Tu po dyskusji zdecydowaliśmy się na odwrót, który okazał ciężki. W końcu dotarliśmy do miejsca drugiego biwaku. Ta noc była szczególnie trudna, w opadzie śniegu w płachtach biwakowych. Cały kolejny dzień zajęły nam zjazdy i późnym wieczorem dotarliśmy do kompletnie zasypanych namiotów. Następnego ranka zlikwidowaliśmy bazę wysuniętą i wróciliśmy na Nandavan, co zajęło nam cały dzień, choć normalnie nie przekraczało 2 do 3 godzin. Głębokość świeżego śniegu sięgała metra. 27 września byliśmy z powrotem w Delhi.

Tym razem na całej linii zawiodła nas pogoda. Mieliśmy dobrą aklimatyzację, cel był trafnie dobrany, 21 września byliśmy już niedaleko

końca trudności: zostały dwa, może trzy wyciągi i dalej było już łatwo. Według pomiarów Arka i Tomka osiągnęliśmy 5935 m. Jeśli chodzi o drogę Hölzlera, w 4 próbach-wyprawach obił on spłami stanowiska oraz punkty na wyciągach w miejscach, które nie wymagały takiej asekuracji. Linia drogi jest rzeczywiście ładna, ale styl i środki chyba nie takie, jakie powinny być stosowane na tej ścianie (choć

prawdę mówiąc powtórzyliśmy tylko początkowe wyciągi, które jako „transportowe” mogły być gęściej ospitowane).

Bogusław Kowalski



T. Szumski prowadzi początek *flake'a* (ok. 5880 m)

Fot. B. Kowalski

Shark Fin

Jest wrzesień 2004 roku. Stoimy z Krzyskiem Belczyńskim pod ścianą Meru Central w Himalajach Garhwalu. Po tygodniu, od przylotu do Delhi możemy wreszcie na własne oczy zobaczyć nasz cel – „Płetwę rekina”, wybitną formację skalną w samym sercu ściany. Dręczą nas mieszane uczucia, już podczas karawany dowiedzieliśmy się od napotkanych w drodze tragarzy, że nie jesteśmy sami. Są też Japończycy którzy działają na „naszej” ścianie. Gdy w końcu stoimy pod szczeliną brzezną, z zegarkiem w ręku odliczamy odstępy czasowe od następujących po sobie lawin kamieni. Pięć, siedem, dwadzieścia minut. Ściana otwierają dwa alternatywne wejścia, śnieżno lodowy stok oraz skalny, rudy filar. Spoglądamy do góry. Widzimy niemal niezauważalną z tej odległości, cienką nitkę poręczówek. Co najmniej pięćset metrów i trzy małe kolorowe kropeczki w najwyższym ich punkcie. Gdy spotykamy się pod ścianą okazuje się, że to trzech sympatycznych Samurajów, którzy są właśnie w trakcie czwartej próby przejścia ściany. Opowiadają nam o kamieniach i o tym jak dwa tygodnie temu weszli w stok na którym omal nie oberwali. Na koniec klepiemy się po plecach i rozstajemy. Oni wracają do bazy wysuniętej na 4900 m, my pozostajemy pod ścianą. Więc zostaje nam teraz tylko stok.

Spoglądamy znowu na Meru – aby przebić się pod 800 m big walla musimy z ciężkim sprzętem przeskoczyć zagrożone niemal tysiąc metrów ściany. A tu pięć, dwadzieścia pięć minut. Słońce już dawno schowało się za granią, robi się ciemno a jednak kamienie nadal zamiatają ścianę. Po drugiej stronie lodowca świeci już tylko Shivling, jest tak blisko. Spoglądamy sfrustrowani na Meru: gdy jest dzień i świeci słońce spływają po stoku kaskady wody a ciemne plamy lodu powiększają się z dnia na dzień. Ściana jest niemal idealnie piękna i trudna, ma w sobie wszystko. Wysokość, długie podejście stokiem, kłopotliwy transport, monolit bez rzeźby i w końcu grań szczytowa. Wszystko, by ją pokochać, ale też wiele by nawet nie dotknąć. W dzień lawiny toczą nawet najbardziej monolityczne ściany nad bazą. Omiatają nasze kolejne pomysły alternatywnych wspinaczek w dolinie. A słońce na co dzień, jak na złość, pali niemilosiernie.

13 września stając kolejny raz pod ścianą podejmujemy bolesną decyzję o zaniechaniu wspinaczki. W ciągu kilku kolejnych dni

odwiedzamy chłopaków* pod Bhagirathi, mamy pomysł na piękną wspinaczkę. Jednak pozostawiony pod Meru sprzęt i brak czasu stopniowo przywracają nas do rzeczywistości. Mamy go za mało by nawet zaryzykować. Podjęcie tej decyzji było trudne, poprzedzone zabawnymi kalkulacjami, w tym nawet rzucaniem monetą. Kamienie i czas – te dwie rzeczy pokonały nas na tej wyprawie. Czy zostaliśmy też pokonani przez samych siebie, wciąż się nad tym zastanawiam. Wiele osób na nas liczyło, otrzymaliśmy dofinansowania od Polskiego Związku Alpinizmu i nagrodę Mugs Stump. Kupę taśm i skrótów podarował nam nasz niezawodny Lhotse Team. Mimo wszystko głęboko wierzę, że podjęliśmy słuszną decyzję.

Marcin Tomaszewski

Serdecznie dziękujemy za wsparcie PZA, Mugs Stump i Lhotse. Dziękuję również Cheryl za kurtkę.

*Do Indii pojechaliśmy większą grupą wraz z wyprawą Bodzia Kowalskiego na Bhagirathi – dzięki dla Bodzia za walkę administracyjną o wizy wspinowe.



Meru Central - Shark Fin.

Fot. M. Tomaszewski

Serwis wspinaczkowy

Arkadiusz Kamiński



Edyta Ropek w Lecco była 4 na czas.

Mistrzostwa Europy w Lecco

Mistrzostwa Europy we wspinaczce sportowej zawiąły pod koniec czerwca do Włoskiego Lecco. Rozgrywane były we wszystkich trzech konkurencjach: na trudność, na czas i bouldering. Na zawodach nie zabrakło sporej reprezentacji Polski, kadre narodową stanowili: Kinga Ociepka, Edyta Ropek, Eliza Kugler, Renata Piszczek, Andrzej Mecherzyński-Wiktor, Tomasz Oleksy, Marcin Wszolek, Konrad Ociepka i Filip Babicz. Największym sukcesem na zawodach było zdobycie 4 miejsca przez Edytę Ropek oraz 5 miejsca przez Tomasza Oleksego w konkurencji na czas, a także – zajęcie 6 miejsca przez Renatę Piszczek w konkurencji bouldering i wejście do półfinałów na trudność Kingi Ociepki. Pozostali zawodnicy uplasowali się na dalszych pozycjach. Zawody wygrali: Bettina Schöpf (Austria) i Ramón Julián Puigblanque (Hiszpania) na trudność, Olga Bibik (Rosja) i Daniel Dulac (Francja) w boulderingu oraz Anna Saulewicz i Aleksandr Pieszczonow (oboje Rosja) na czas.

Wyniki na: www.ico-info.org

Puchar Świata w Chamonix

W tym roku alpejski kurort gościł u siebie wspinaczkową imprezę z cyklu rozgrywek o Puchar Świata, rozgrywaną w dwóch konkurencjach: na trudność i na czas. W dolinie otoczonej najwyższymi alpejskimi szczytami na placu obok ENSA ustawiono imponująca konstrukcję sztucznej ściany – przewieszony panel z dwoma dachami po drodze. Na starcie stawili się liczni zawodnicy z całego świata, jak zwykle nie zabrakło i naszej reprezentacji, która przybyła w licznym gronie. Niestety wyjazd nie był zbyt udany dla naszych. Pechowe, nieświadome zapracowanie nogą na spicie spowodowało dyskwalifikację Elizy Kugler w konkurencji na trudność. Awaria zegarów, a przez to mniej precyzyjne ręczne pomiary czasu i setne sekundy różnicy sprawiły, że Edycie Ropek, mimo złożenia protestu i powtórzeniu biegu, nie udało się wejść, tak jak to było w Lecco, do finałowej czwórki. Marcin Wszolek odpadł gdzieś przed trudnościami, jak sam powiedział „nie wiem co się w ogóle stało?”. Jedyne Andrzejowi Mecherzyńskiemu udało się przejść do półfinałów w konkurencji na trudność.

Arch. E. Ropek

sekundy różnicy sprawiły, że Edycie Ropek, mimo złożenia protestu i powtórzeniu biegu, nie udało się wejść, tak jak to było w Lecco, do finałowej czwórki. Marcin Wszolek odpadł gdzieś przed trudnościami, jak sam powiedział „nie wiem co się w ogóle stało?”. Jedyne Andrzejowi Mecherzyńskiemu udało się przejść do półfinałów w konkurencji na trudność.



Tomasz Oleksy (z lewej) na starcie „czasówki” w Chamonix.

Fot. A. Kamiński

Ostatecznie w tej konkurencji zajął 28 miejsce, zaś w czasówce był 8. Najlepiej wypadł Tomasz Oleksy, który po wejściu do finału czasówek uplasował się na 4 pozycji. Dla juniora Łukasza Świrka start w Pucharze Świata seniorów był pierwszą w życiu imprezą o tak wysokiej randze. Łukasz wypadł rewelacyjnie, plasując się w czasówce na 12 pozycji. Na trudność startował również Filip Babicz, który uplasował się na 45 pozycji.

Zwycięzcami zawodów zostali: Muriel Sarkany (Belgia) i Alexandre Chabot (Francja) – na trudność, oraz Tatiana Rouiga i Jewgienij Wojciechowski (oba z Rosji) – na czas.

Wyniki: www.icc-info.org

Puchar Świata w Val Daone

Na dość nietypowym obiekcie wspinaczkowym, a mianowicie na potężnej konstrukcji zapory wodnej rozegrano kolejną edycję Pucharu Świata na czas. Zawody podzielone były na dwie części: przygotowawczą i główną. Pierwszego dnia każdy z zawodników miał 40 minut na trening na obu drogach. Jak to bywa w sporcie, można się było przeliczyć. Ci, którzy biegali najszybciej na treningu, na starcie wypadli słabo i na odwrót. Ci, którzy czaili się z pokazaniem formy, rozwinęli skrzydła dopiero w oficjalnych zmaganiach. Dzień drugi – to właściwe zmagania. Niestety złe fatum prześladowało naszą jedyną reprezentantkę Edytę Ropek, która w trakcie szybkiego biegu „wyjechała” z dwóch krawędek, odpadając od ściany. Wspaniałym zaskoczeniem było wejście Andrzeja Mecherzyńskiego do ósemki. Na tamie Andrzej startował pierwszy raz, więc nie znał dróg, a czas wykręcany na treningu nie rokował na to do czego doszło – osiągnął 6 czas po eliminacjach i ostatecznie zajął 5 miejsce razem z innymi czterema zawodnikami! Rekordzista ściany z zeszłego roku Tomasz Oleksy ostatecznie uplasował się na czwartej pozycji, co było najlepszym wynikiem osiągniętym przez Polaków na tych zawodach. Zwyciężyli Rosjanie: Siergiej Sinicyn i Tatiana Rouiga

Pełne wyniki i zdjęcia Marco Togni na www.speedrock.it

Puchar Świata w L'Argentière La Bessée

Pod koniec lipca pucharowe zmagania w boulderingu zawitały do Francji. W zawodach wzięła udział czteroosobowa reprezentacja naszego kraju. Niestety zawody nie były zbyt udane dla naszych. O finał otarł się Tomasz Oleksy, który uplasował się na 13 pozycji. Drugi z Polaków Andrzej Mecherzyński-Wiktor zajął 20 miejsce na 50 startujących. Wśród pań nasze reprezentantki znalazły się w dolnej połowie startujących 31 zawodniczek. Renata Piszczek zajęła 17 miejsce, a Eliza Kugler 26 miejsce. Zawody wygrali: Olga Bibik (Rosja) i Stephane Julien (Francja).

Wyniki: www.icc-info.org

Puchar Świata w Bardonecchia

Włochy po raz drugi w tym roku gościły u siebie Puchar Świata w konkurencji bouldering. Tym razem najlepszych zawodników w tej dyscyplinie przyjmowało miasto Bardonecchia w Alpach Kotyjskich. W zawodach wystartowało 27 kobiet i 49 mężczyzn. Nie zabrakło również reprezentantów naszego kraju, na starcie stawili się Tomasz Oleksy, Andrzej Mecherzyński-Wiktor, Renata Piszczek i Anna Jarek. Najwyższą lokatę, niestety poza finałem zdobył Tomek, zajmując 13 miejsce, na 15 pozycji uplasowała się Renata, na 24 – Ania, a na 37 miejscu znalazł się Andrzej. Zawody wygrali Francuzi – Daniel Dulac i Sandrine Levet.

Wyniki na: www.icc-info.org

Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w boulderingu w Tarnowie

Tarnów – miasto znane w naszym środowisku z najlepszych w kraju wspinaczy na czas – Tomasza Oleksego i Edyty Ropek, gościło u siebie imprezę rangi międzynarodowej – zmagania o tytuł Mistrza i Mistrzyni Polski w boulderingu. Na przepięknym, malowniczym tarnowskim rynku ustawiono, jak do tej pory, bezapelacyjnie najlepsze konstrukcje ścianek wspinaczkowych, jakie widziano na polskich zawodach. Zaprojektowane i zbudowane zostały przez tarnowskich wspinaczy. Rewelacyjne usytuowanie, bardzo dobra organizacja, energiczna i klimatyczna muzyka, oraz sam pokaz umiejętności najlepszych wspinaczy, przyciągnęły spora grupę widzów i pasjonatów tej dyscypliny. Nie zawiedli zawodnicy, do zmagania stanęli najlepsi reprezentanci prawie wszystkich regionów Polski, oraz bardzo silni zawodnicy z zagranicy – Ukrainy i Słowacji. Ogółem startowało 39 panów i 19 pań. Pierwszego dnia rozegrano eliminację, które wyłoniły 12 najlepszych zawodników i zawodniczek.

Finały, zaplanowane na niedzielne popołudnie, rozpoczęły zmagania kobiet. Panie walczyły na pięciu bardzo wymagających, długich i wysokich problemach, zróżnicowanych co do charakteru i przebiegu. Kinga Ociepka i Olga Szałagina dostarczyły sporych emocji i im zawdzięczamy widowiskowość kobiecych zmagania. Rywalizacje we wspaniałym stylu wygrała Polka! Walkę pozostałych finalistek charakteryzował podobny poziom, a krajowa kobieta czołówka powiększyła się, zyskując kilka nowych, mocnych zawodniczek – oby tak dalej.

Rywalizacja panów odbyła się przy sztucznym oświetleniu halogenów i beat'owej muzyce, co podnosiło poziom adrenaliny u wielu ze startujących. Kompozytorzy dróg Tomasz Oleksy i Marcin Wszolek przygotowali naprawdę wymagające bouldery. Wspaniała klasa i ogromny zapas mocy pokazali goście z zagranicy Kiril Szewczenko i Juraj Repcik, na szczęście honor naszego wspinacza

Wspinaczka sportowa



Andrzej Mecherzyński-Wiktor uplasował się w czołówce zawodów w Val Daone. Fot. A. Kamiński

nia obronił Aleksander Romanowski, wygrywając tarnowskie zmagania i zdobywając tytuł Mistrza Polski 2004. Wielkie brawa!

Gratulacje należą się organizatorom zawodów Tomaszowi Oleksemu i Bartkowi Kitajewskiemu, oraz tarnowskiemu środowisku wspinaczkowemu – za pomoc i wkład w powodzenie imprezy.

Wyniki: <http://kws.pza.org.pl>

Rockmasters Arco

Znana wielu wspinaczom impreza, organizowana w równie znanym miasteczku „wspinaczkowym” Arco, odbyła się na początku września. Jak zwykle, uczestników w każdej z poddyscyplin wspinaczki mogło być ośmiu, a wystartować w zawodach mogli tylko zaproszeni zawodnicy. Wśród wybrańców losu nie zabrakło dwóch Polaków, którzy reprezentowali nasz kraj w konkurencji na czas i w boulderingu. Dużym sukcesem stało się dla nas zwycięstwo Tomka Oleksego na czas, któremu na drodze do zwycięstwa stanąć mogli jedynie dwaj Rosjanie – Jakow Subotin i Aleksandr Pieszeczonow, do czego jednak nie doszło. Drugi z Polaków Andrzej Mecherzyński-Wiktor zajął 5

miejsce. Tomek startował również w boulderingu, gdzie zajął 4 miejsce. W tej konkurencji wygrał Matthias Müller (Szwajcaria) wśród mężczyzn i Mélanie Son (Francja) wśród kobiet. W konkurencji na trudność Polacy nie starowali, a zwycięzcami zostali: Austriaczka Angela Eiter i Francuz Alexandre Chabot.

Wyniki na: www.icc-info.org

Mistrzostwa Świata Juniorów

Od 10 do 12 września w Edynburgu w Wielkiej Brytanii rozgrywane były Mistrzostw Świata Juniorów. W zawodach udział wzięła spora ekipa polskiej młodzieży, która pod opieką Tomasza Kuglera, Artura Polańskiego i Cezarego Modrzejewskiego, dotarła na wyspy. W najstarszej grupie najlepiej zaprezentowały się dziewczyny: Kinga Ociepka zajęła 6 miejsce, a Kasia Jurek 11 miejsce. W grupie juniorów (rocznik 85, 86) Konrad Ociepka zajął 20, a Łukasz Świrak – 48 miejsce, a w grupie juniorów A (r. 87, 88) Marcin Mach – 20 miejsce i Jakub Jodłowski – 38 miejsce. Juniorzy grupy B (r. 89, 90) wypadli następująco: Marek Matys uplasował się na 52, a Maciej Kalita – na 56 pozycji. Natomiast wśród junierek (rocznik 85, 86), prócz wymienionych na początku dziewczyn, startowała również Agata Wiśniewska, która zajęła 23 miejsce. W grupie B junierek (r. 89, 90) startowała Marta Lenartowicz, zajmując 39 miejsce. Wyjazd 12-osobowej reprezentacji juniorów w tak liczny gronie jest wydarzeniem bez precedensu w historii startów młodych reprezentantów Polski w Mistrzostwach Świata Juniorów. Na sfinansowanie wyjazdu większości juniorów zdecydowali się rodzice, dofinansowanie PZA otrzymało 5 osób.

Info: ICC, KWS PZA, Bryan.



Edyta Ropek w MP w boulderingu w Tarnowie.

Fot. A. Kamiński

Wspinaczka sportowa



Arena rywalizacji w Szanghaju.

Fot. E. Ropek

Puchar Polski w Szczecinie

Trzecia tegoroczna odsłona pucharowych zmagania na trudność i na czas zawiątała w połowie września do Szczecina. Miejszem rozegrania zawodów była 10-metrowa ściana usytuowana w Centrum Handlowym Galaxy. W zawodach udział wzięło 18 mężczyzn i tylko 3 panie. W zmaganiach na trudność podobnie jak w Lubinie, triumfowała Katarzyna Jurek, potwierdzając swoją dobrą formę w tej konkurencji, drugie miejsce przypadło Edycie Ropek, a trzecie reprezentantce Szczecina Magdalenie Sobolewskiej. Wśród mężczyzn, po zaciętej walce w superfinale, wygrał Andrzej Mecherzyński-Wiktor, przed Łukaszem Dudkiem, na miejscu trzecim uplasował się Marcin Wszolek.

W konkurencji na czas, wśród pań nie było niespodzianek, wygrała faworytka Edyta Ropek, natomiast wśród panów zwyciężył Andrzej Mecherzyński-Wiktor. Organizacja, oprawa i klimat zawodów były bardzo dobre, szkoda tylko, że żeńska część polskiej kadry nie dopisała, co z pewnością ożywiło by rywalizację. Podziękowania należą się organizatorom za bezbłędne przeprowadzenie zawodów. Nad prawidłowością zmagania czuwał sędzia główny Artur Polański.

Puchar Świata w Huzhou

Pucharowa karuzela przeniosła się do Państwa Środka. W dniach 25 i 26 września odbyły się zmagania w konkurencji bouldering. Na zawody wybrała się dwójka naszych reprezentantów – Tomasz Oleksy i Renata Piszczek. Niestety, z powodu opóźnienia w

lotach samolotów, o czasie na zawody dotarł tylko Tomek (Renata straciła szansę na start). 30 godzinne opóźnienie w podróży nie przeszkodziło mu w zajęciu 3 miejsca. Wielkie gratulacje!!!

Info: Murki

Puchar Świata w Szanghaju

Finałowa edycja Pucharu Świata na czas, oraz edycja na trudność, zawiątały do Szanghaju. W pierwszych dniach października światowa czołówka wspinaczy w obu konkurencjach rywalizowała ze sobą na monstrualnej ścianie ustawionej między nowo powstającymi wieżowcami. Zawody odbywały się w czasie trwającego święta narodowego, dla tego też przyciągnęły ogromną rzeszę publiczności. Bardzo profesjonalna oprawa techniczna i medialna towarzyszyła od początku do samego końca. Nie zabrakło ważnych osobistości ze sfery rządu i biznesu. Konkurencja na czas relacjonowana była na żywo przez publiczną telewizję. Takiego zainteresowania mediów nie spotyka się w innych edycjach rozgrywanych w Europie. Zawody były też dobrą okazją do odwiedzenia Chin, poznania zupełnie innej kultury i ludzi. W zawodach wystartowało więcej kobiet niż mężczyzn, co nie zdarza się często! Oczywiście nie zabrakło polskiej reprezentacji, w zawodach udział wzięli Tomasz Oleksy, Edyta Ropek i Renata Piszczek.

Pierwszego dnia odbyły się eliminacje i półfinały na czas, oraz eliminacje i półfinały kobiet na trudność. W biegach półfinałowych naszym zawodnikom udało się pokonać swoich rywali, dzięki czemu zapewnili sobie wejście do ósemki. Najcieńszy orzech do zgryzienia miała Edyta Ropek, która po eliminacjach trafiła na Walentinę Jurinę (zdobywczynię Pucharu Świata 2003). Edyta wspaniale sobie poradziła z rywalką wygrywając pojedynek. Renata Piszczek zmierzyła się z reprezentantką Hong Kongu Lai-sho Cheng, która popełniła dwa poważne błędy na drodze, co zapewniło Renacie wejście do ósemki. Tomasz Oleksy wspaniale wyeliminował swojego rywala, również załapując się do dalszej rozgrywki.

Drugiego dnia odbyły się półfinały mężczyzn na czas, oraz finały obu konkurencji. W konkurencji na trudność wystartowali również Tomek i Renata. Tomek specjalizujący się w czasówkach i boulderingu, pierwszy raz od dłuższego czasu wystartował na trudności, osiągając rewelacyjny wynik - 15 miejsce! Renata zajęła 25 miejsce. W finale czasówek powiało biało czerwonymi barwami - aż trzy osoby załapały się do tej części - zajmując ostatecznie dwa piąte (Edyta i Tomek) i szóste (Renata) miejsca. Wyprawa na drugi koniec świata dla naszych była nie lada przygodą i z pewnością zostanie na długo w pamięci. Zawody wygrali: Anna Saulewicz i Xiaojie Chen na czas oraz Angela Eiter i Tomasz Mrazek na trudność.

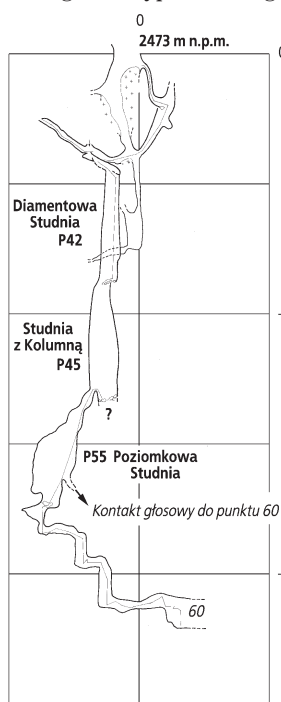
Info: Edyta Ropek

Wyniki: ICC

Lampo jak K2

Jakub Nowak

Jaskinia Lamprechtsofen, tak jak K2, jest „tylko” druga na superliście. Ale to nie koniec analogii, bo wyprawa osiągnęła sukces już przed



wyjazdem – sukces medialny. „Smerfujący” internauci mogli nam zaglądnąć nawet do zupy... ale podobnie jak w przypadku słynnej zimowej wyprawy na K2, nie przełożyło się to na wymierny sukces na wyprawie. Szczytu nie osiągnięto. System Lampo nie został pogłębiony, choć wydawało się to takie bliskie...

Na początku wyprawy „przypuściliśmy zmasowany atak” na Jaskinię Krecią. Znajduje się ona tak blisko

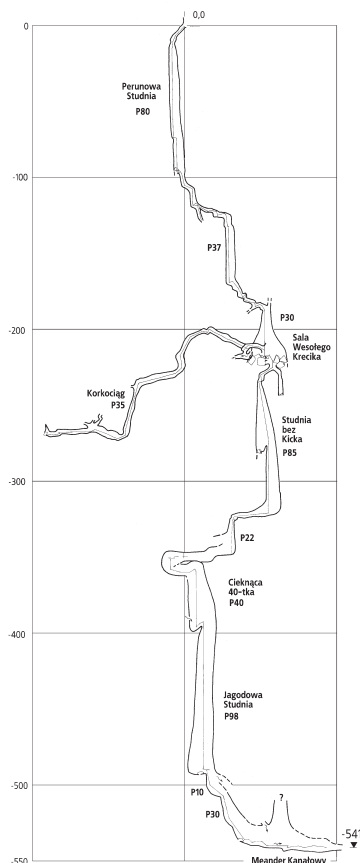
Jaskini PL-2 (górny otwór Systemu Lampo), że jej połączenie wydawało się kwestią krótkiego czasu. Z poziomu -350 m Marcin i Miki odkrywają Cieknącą 40-tkę, dalej Heniu zjeżdża Jagodową Studnię (P 98) i jesteśmy na -500 m. Wchodzimy na biwak na -350 m. Idziemy z Aśką na przodek pełni nadziei... i zostawiamy ją na -541 m, w Meandrze Kanałowym, który choć ładny, to staje się zbyt ciasny. Niektórzy nawet nie chcą nam wierzyć... Odtąd eksploracja to dłubanie w przodkach i kolejne retransportsy. W międzyczasie dowiadujemy się o pogłębieniu Wroniej, ale nie „tracimy spręża i motywacji do dalszej eksploracji”, jak napisał dziennikarz Apoloniusz R. Wręcz przeciwnie – największe odkrycia były jeszcze przed nami...

Nadzieje na dalszą eksplorację w Kreciej odżywają, gdy Marcin i Ilona odkrywają ok. 200 m korytarzy w rejonie Sali Krecika. Niestety

to było ostatnie większe odkrycie w tej jaskini.

Nieco wcześniej podejmujemy eksplorację w Furkaschacht, odkrytej w 2003 roku. Andrzej, Furek, Marcin i Tomek zaczynają eksplorację meandra na -40 m, z Aśką i Mikim ją kontynuujemy i stajemy nad dużą studnią, a Tomek i Ilona eksplorują pod górę lodową Zjeżdżalnię. Dzień później w tym samym składzie zjeżdżamy na dno Diamentowej Studni (P 42) i Studni z Kolumną (P 45). Andrzej, Puma i Marcin zjeżdżają kolejną Poziomkową Studnię (P 55) i po pokonaniu krótkiego meandra stają nad następną. Co ciekawe, im głębiej jesteśmy w jaskini, tym bardziej odczuwamy ciąg powietrza. W kolejnej akcji duża grupa pod kierownictwem Andrzeja eksploruje meander do głębokości -220 m, jaskinia staje się uciążliwa – ciasnoty w połączeniu z wilgocią i przewiewem powodują szybkie wychładzanie.

W międzyczasie prowadzona jest eksploracja powierzchniowa. Puma odkrywa potężną studnię, którą nazywa Perpetum Horrible – otwarcie się studni do powierzchni nastąpiło prawdopodobnie na





Eksploracja Furkaschacht

Fot. J. Nowak

skutek obrywu skały i lodu, więc większość akcji do niej polega na czyszczeniu ścian. Jak dotąd udało się zejść ok. 80 m, nie osiągając dna...

Do Furkaschacht udaję się z Aśką, aby obadać przodek. Lawirując w wysokim, ciasnym i wietrznym meandrze poznajemy go na długości 100 – 150 m. W jednym z jego licznych den osiągam syfon na głębokości ok. 240 m. Niestety rozpie-raczkę w szpagacie okupuje kontuzją kolana. W następnych akcjach Artur, obaj Jurkowie, Agnieszka i Misiiek eksplorują drugi meander, który okazuje się łączyć z pierwszym.

Równolegle rusza biwak do CL-3. Rafał i Karol eksplorują Galerię Rumuna, Marcin, Bartek i Jurek V. ją kontynuują. Większość biwakowiczów słabo zna tę skomplikowaną jaskinię i efektywne odkrycia okazują się dosyć skromne.

W końcowej części wyprawy Andrzej z ekipą otwiera kolejny przodek w Furkaschacht, a w CL-3 kontynuowana jest eksploracja z powierzchni. Na jednej z nich przeżywam jedną ze swoich najpiękniejszych szczyt. Z Aśką i Bartkiem udajemy się za Prożki Snoopiego (z poziomu -170 do -140 m). Ciąg ten kończy się salą z dwoma odnogami. Aśka udaje się z Bartkiem do lewej, ja natomiast idę za wyraźniejszym ciągiem powietrza. Po ok. 30 m staję pod zawaliskiem, które zatrzymało Wojtka rok wcześniej. Zaczynam się przeciskać między wantami w stromej szczelinie. Po drodze zrzućam część z nich i kilkakrotnie odcinam się od powrotu, ale czuję, że gdzieś nade mną jest

przestrzeń. Po jakimś czasie staję na dnie sporej Mokrej Sali z silnym deszczem. Ewidentnie puszcza do góry. Nie mogę się powstrzymać i zaczynam się wspinać. Prawą ścianą wanty, lawiruję między następnymi wielkimi głazami przeplatany coraz większą lułą i deszczem. Nagle wychodzę nad nie i staję w ogromnej Sali że Heeej ! Stromym wantowiskiem pnę się do góry. Po 50 metrach sala przechodzi w głęboki meander. Trawersuję do góry, pode mną studnie, a pod górę sala z wantowiskiem, galeryjka i meander, za nim następna sala z progim do góry i na dół. (jestem już 70 m wyżej). Po wspięciu tego pierwszego opamiętuje się przed trawersem do następnej sali – teraz trzeba myśleć jak wrócić... W drodze powrotnej „czyszcze” zawalisko i mimo kolejnych odcieć, jakoś to się udaje. W tym czasie Aśka i Bartek odkrywają salę za oknem w lewej odnodze. Następnego dnia, na końcu ciągu odkrywamy z Bartkiem Salę Południową z dużym kominem (następny otwór Systemu CL-3?), a Rafał i Renata zaczynają zjeżdżać Studnię Alzheimera. Dzień później Wiesiek, Puma, Agnieszka i Marcin zjeżdżają na jej dno i eksplorują pobliską galeryjkę.

Niestety czas się kończy i musimy się związać do Polski, bo pogoda daje nam wyraźne znaki.

Podsumowanie

Przez miesiąc działalności w Ebersbergkar odkryto ponad 1800 m korytarzy i studni:

Jaskinię Krecią poznano do głębokości 541 m, a w ciągu 2 lat poznano ją na długości ok. 1200 m (odkrycia 2004 r. – 600 m);

Furkaschacht dotąd poznano do głębokości ok. 240 m i na długości ok. 700 m (odkrycia 2004 r. – 600 m);

W Systemie CL-3 odkryto ok. 500 m korytarzy i studni, jaskinia ma ponad 6600 m zmierzonych ciągów, przy 748 metrach deniwelacji.

Wyprawa Krakowskiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego „Lampo 2004” miała miejsce od 25 lipca do 31 sierpnia 2004 r. W odkryciach czynny udział wzięli: Bartosz Berdel, Andrzej Ciszewski – kierownik, Michał Ciszewski „Furek”, Marcin Czart „Misiiek”, Miłosz Dryjański (KKS), Agnieszka Gajewska (SW), Marcin Gała (SW), Ilona Gawęda, Artur Hojda, Karol Jurkowski, Jan Kućmierz, Artur Madej, Henryk Nowacki (niezrzeszony), Jakub Nowak, Mirosław Pindel „Miki”, Tomasz Snopkiewicz, Aleksandra Stepień, Joanna Ślusarczyk (STJ KW Kraków), Wiesław Wilk, Ewa Wójcik „Puma”, Jerzy Verey, Jerzy Zygmunt (SCC).

Uczestnicy dziękują KTJ PZA za wsparcie finansowe.

Wyprawa została wyposażona w namioty firmy MARABUT (www.namioty.pl).

Tennengebirge Ost 2004

Marcin Furtak



Wejście do D-12.

Fot. M. Furtak

Wielkie plany, marzenia o tysiącu, oczekiwania... Lato ubiegłego roku było upalne. Śniegu mało jak nigdy. W miejscach, gdzie od zawsze zalegały brudne łąchy śniegu, teraz oglądaliśmy żółte, wapienne skały. Wszystko wyglądało pięknie. Był tylko jeden problem. Od trzech lat nie mieliśmy konkretnego celu. A przecież wcześniej w Tennengebirge tak dobrze nam szło. Odkrycie za odkryciem. Teraz nie chciało puszczać głębiej niż 200 metrów.

Wreszcie puszcza!

Ubiegłoroczną wyprawę zaczęliśmy od eksploracji powierzchniowej. Znaleźliśmy ponad 20 jaskiń. Wysyp tyłu nowych dziur spowodowany był brakiem śniegu. Otwory nie były wcześniej widoczne, przykrywały je śniegowe połączenia. Znalezione przez nas jaskinie były jednak płytkie.

Ale osiem dni przed końcem wyprawy, pod ścianami Langwand, w zagłębieniu terenu, natrafiliśmy na ciemną, niewielką plamę. Tak wyglądał z daleka otwór jaskini D-12. Po odwaleniu kamienia, który częściowo zakrywał otwór, zobaczyliśmy poziomy korytarzyk. A dalej – puszczało jak za dawnych lat! Szał eksploracji, amok odkrywania... Zeszliśmy do -400 m i chcieliśmy iść dalej, ale niestety, trzeba było wracać do domu.

Na kolejną wyprawę przyszło nam czekać dwa miesiące. Wyruszyliśmy na nią w lipcu 2004 roku. Pierwszy transport pod jaskinię. Nie ma jej! W miejscu, gdzie powinien być otwór leży wielka łącha śniegu. Bliższe oględziny przynoszą ulgę. Z prawej strony krawędzi śniegu wytopiony jest kilkumetrowy lodowy tunel, prowadzący do otworu jaskini. Humory poprawiają się.

– Hmm... Nieźle dmucha z wnętrza. Musi być niezła dziura – rozmarzamy się.

I zaklipa się

Zaczynamy działalność w jaskini. Już od przodka zaczynają się problemy. Ciasno, coraz ciasniej. Meandry, kaskady, zaciski. Wreszcie -580 m – nareszcie rozszerza się. Czuć też silniejszy podmuch powietrza. Teraz to puści!

Dojeżdżam do zawaliska. Nachodzi mnie przecucie nieuchronnego końca. Nagle z góry dolatuje...

– Co tam?

To krzyczy Daniel – odkrywca jaskini.

– To koniec... Parch cholerny... Znowu zaklipielem jaskinię. Jestem Jonaszem jakimś, czy co? – wkurzam się.

Próby kopania w zawalisku nie przynoszą rezultatu. Altimetr w GPS-ie wskazuje -630 m. Po korekcie wychodzi -615 m. Niby jest się z czego cieszyć. Trzecia pod względem głębokości jaskinia w rejonie, no i nie trzeba się już przez te ciasnoty przeciskać. Niedośyt jednak pozostaje.

Jest po co wracać

Atakujemy wszystkie odnogi, boczne korytarze, okna. Nic. Wszystko łączy się z głównym ciągiem. Zostały trzy ostatnie problemy. Na akcję idę znowu z Danielem. W 80-metrowej Studni Ikara (nazwa pochodzi od lotu jaki zaliczył Franciszek Kramek, gdy mu ze ściany wyrwało spita) mający czarne okno. Kilka wahadeł i jesteśmy w dużym korytarzu. Wstrzelamy się w stare ciągi jaskini.



Daniel Oleksy zjeżdża w D-12. Fot. M. Furtak

Wielkie galerie odpadłych nacieków przepłatane niewielkimi prożkami doprowadzają nas do 20 m studni. Mamy ostatni odcinek liny. Wystarcza do dna. Z jednej strony ciasny meander, z drugiej znowu galerie. Słyszę szum wody. Robi się chłodniej. Dookoła przestrzeń. Po piargu dochodzę na skraj wielkiej, około stumetrowej studni. Z jednej ze ścian wylatuje strumień wody, który rozpryskuje się w studni.

Odczuwam radość. A jednak się kontynuuje...

Wyprawa się kończy. Po naszej są jeszcze tylko dwie akcje. Podczas nich koledzy z klubu bocznymi ciągami, które zaczynają się na głębokości -200 m, dochodzą do -340 m. Studnię Deszczu

Kolejny rekord świata w Jaskini Krubera

Prawdziwie rewelacyjna wiadomość przyszła z abchazyjskiej części Kaukazu Położona w masywie Arabika w Zachodnim Kaukazie Jaskinia Krubera (in. Jaskinia Wronia) została pogłębiona do 1870 metrów. Po lipcowej wyprawie moskiewskiego klubu Cavex, w czasie której został ustanowiony nowy głębokościowy rekord świata, wynoszący 1830 metrów, wyruszyła do niej kolejna wyprawa grotolazów ukraińskich. 24 sierpnia 2004 r. odkryli oni na głębokości 1700 metrów nowy ciąg, opadający w dół, o długości ponad 200 metrów. Zeszli nim do miejsca, gdzie dalszą drogę zagroził syfon. Po wstępnym opracowaniu wykonanych pomiarów okazało się, że jest to głębokość 1870 metrów, a więc nowy rekord świata. Miejmy nadzieję, że szczegółowe pomiary i przeliczenia „toposjemek” utrzymają nowy rekordowy rezultat. Większy materiał na ten temat – w kolejnym numerze „Taternika”. (Red).

Z ostatniej chwili:

Jakub Nowak donosi 27 października, że rezultatem ostatniej eksploracji Jaskini Krubera jest osiągnięcie głębokości 2030 m!

zostawiamy na przyszły rok. Ponoć oczekiwanie wyznacza godziny radości.

Podsumowanie

Wyprawa Speleoklubu Bobry z Żagania działała w masywie Tennenberge Ost w dniach 25 lipca – 13 sierpnia 2004 r. Podczas wyprawy pogłębiliśmy jaskinię Jack Daniels Höhle (D-12) z -400 m do -615 m oraz zaczęliśmy działać w ciągu tej jaskini zaczynającym się w Studni Ikara. Zatrzymaliśmy się nad otwartym problemem. Odkryliśmy też trzy niewielkie, bo ponad 30-m jaskinie. Natomiast w jaskini C-2, poznanej rok wcześniej do -30 m, w tym roku zjechaliśmy do ok. -100 m. Z powodu braku liny wycofaliśmy się.

Najgłębsze jaskinie wyeksplorowane w Tennenberge Ost:

1.	Meandrująca	- 1027 m
2.	Bleikogelhöhle	- 1021 m
3.	Jack Daniels Höhle	- 615 m
4.	Kaskadowa (P-28)	- 559 m
5.	Stary Świstak	- 559 m
6.	Hades	- 455 m
7.	Pod Modrzewiem	- 440 m
8.	Czerwony Pająk	- 415 m
9.	Pod Śnieżnymi Korkami	- 280 m
10.	P-30	- 273 m

25 lat minęło

Speleoklub „Bobry” Żagań w Tennenberge Ost działa już od ćwierć wieku. Do największych sukcesów klubu należy wyeksplorowanie dwóch tysięczmetrowych jaskiń w tym masywie: Jaskini Meandrującej -1027 m i Bleikogelhöhle -1021 m. W 1981 r. „Bobry” pobiły rekord świata. Wyeksplorowaliśmy najgłębszą, jak na ówczesne czasy, jaskiniową studnię: Hades -455 m. Rekord utrzymaliśmy przez kolejne 13 lat.

Speleokonfrontacje 2004

Speleokonfrontacje są to coroczne spotkania środowiska jaskiniowego, których celem jest zaprezentowanie osiągnięć eksploracyjnych i sportowych mijającego roku. Dla nas rok kończy się wraz z zakończeniem sezonu letnich wypraw, czyli pod koniec września. W związku z tym speleokonfrontacje odbywają się zwyczajowo w październiku lub listopadzie każdego roku. W tym roku, ze względu na walne zjazdy (WZD PZA i WZD KiSTJ PZA) oraz inne spotkania organizacyjne (spotkanie narciarzy wysokogórskich), zaplanowane na listopad, speleokonfrontacje odbyły się w październiku, w dniach 23-24. Po raz kolejny spotkaliśmy się w Podlesicach, w gościnnym Zajeździe Jurajskim. Od kilku lat liczba uczestników jest stała i wynosi około 240 osób reprezentujących prawie wszystkie kluby speleologiczne w Polsce.

Zasadniczą częścią speleokonfrontacji są prelekcje przygotowywane przez uczestników poszczególnych wypraw. W tym roku większość pokazów zaprezentowana została z wykorzystaniem techniki komputerowej. Dostępność nowoczesnych sposobów prezentacji wpływa na coraz wyższą jakość prelekcji. Część wystąpień była właściwie impresjami z pobytu w górach. Dzięki obrazowi i ciekawie dobranej muzyce na krótki czas przenosiliśmy się w magiczny świat jaskiń. Jednakże speleokonfrontacje, oprócz doznań estetycznych, mają przede wszystkim cel informacyjny i to kryterium było jednym z ważniejszych branych pod uwagę przez jury podczas oceniania prezentacji. Oprócz nagród przyznawanych przez jury, tak jak co roku, została przyznana nagroda publiczności i szczęśliwie dla prelegentów nagrody te nie pokrywały się, więc aż 5 osób opuściło salę z workami jaskiniowymi pełnymi prezentów. Dodatkowo każdy z prezentujących otrzymał upominek, a możliwe to było dzięki hojności licznych sponsorów.

Z roku na rok lista wystąpień wydłuża się. W tym roku przedstawiono 15 prelekcji konkursowych:

1. Pirin – Piotr Pilecki („Gawra” Gorzów Wielkopolski)
2. Wyprawy – Włodzimierz Szymanowski (Podkomisja Nurkowania Jaskiniowego KTJ PZA)
3. Tausz (Rumunia) – Włodzimierz Szymanowski (Podkomisja Nurkowania Jaskiniowego KTJ PZA)
4. Badania wytrzymałościowe lin – Wojsław Rubisz (SDG)

5. Polarny kras – Włodzimierz Porębski, Przemysław Włosek (SDG)

6. Chiny 2004 – Zenon Kondratowicz („Bobry” Żagań)

7. Arabika 2004 – Geliktitt – TM 32 (Białoruś)

8. Jaskinia Imieninowa – Zenon Kondratowicz („Bobry” Żagań)

9. Austria 2004 – Marian Bochynek („Bobry” Żagań)

10. Hagengebirge – Marek Wierzbowski (SG Wrocław)

11. Mała – Marek Lorczyk (Sądecki Klub Tatarnictwa Jaskiniowego)

12. Lampo – Jakub Nowak – (Krakowski Klub Tatarnictwa Jaskiniowego)

13. Durmitor 2004 – Agata Maślanka (AKG Kraków)

14. Kitzsteinhorn 2004 – Andrzej Ciszewski (Krakowski Klub Tatarnictwa Jaskiniowego)

15. Kanin 2004 – Tomasz Tomaszek (STJ KW Kraków)

oraz 3 pokazy pozakonkursowe:

1. Anna Antkiewicz – Pożegnanie – Krzysztof Hancbach

2. Spitzbergen 2003 – Szymon Kostka

3. Madre de Dios – wyspa na końcu świata – Marek Mżyk

Publiczności najbardziej podobały się :

1. pokaz zdjęć oraz krótki film „Polarny kras”

2. prezentacja „Arabika 2004”

Jury natomiast nagrodziło prelekcje:

1. Kitzsteinhorn 2004

2. Chiny 2004

3. Austria 2004

Speleokonfrontacje oprócz aspektu merytorycznego mają również olbrzymie zadanie dla integracji środowiska jaskiniowego z całej Polski. Tańce przy grillu trwały do białego rana.

Cała impreza odbyła się dzięki pracy członków Speleoklubu Dąbrowa Górnicza, którzy przygotowali spotkanie już po raz dziewiąty.

Nagrody zaś zawdzięczamy sponsorom: AMC, EXPLORER, HIMAL SPORT, Hurtownia FATRA, JAXA SPORT, LANEX, MAŁACHOWSKI, MOUNT HI MOUNTAIN, PAJAK SPORT, PHU KOTARBA, Sklep HORYZONT, Sklep SUMMIT, Sklep TURYSTYKA & GÓRY, UNI SPORT.

Organizatorom oraz sponsorom dziękuję w imieniu uczestników

Agnieszka Gajewska

15 lat temu na Lho La

27 i 28 maja 1989 r. na przełęczy Lho La (6026 m) rozegrała się największa tragedia w całej historii alpinizmu polskiego: śmierć poniosło 5 członków wyprawy na Everest. Droga wspinaczki wiodła przez południową część (6408 m) Khumbutse i przez Lho La, a w górze przez Kuluar Hornbeina (obóz V). Po próbach Carlosa Carsolia oraz dwójki Dąsał – Gardzielewski (do 8500 m), do akcji przystąpili Eugeniusz Chrobak i Andrzej Marciniak. 24 maja o godz. 1 w nocy opuścili oni obóz V (8000 m) a szczyt Everestu osiągnęli dopiero o godz. 20. Posługiwali się sprzętem tlenowym i rozpinali poręczówki. Schodzili w nocy i do obozu V wrócili o godz. 3 nad ranem. Na Lho La czekali na nich obydwaj Mirkowie – Dąsał i Gardzielewski. Następnego dnia z dołu doszli Zygmunt A. Heinrich i Waclaw Otręba. 27 maja cała szóstka opuściła Lho La i o godz. 10 weszła w kuluar w dolnej części stoków Khumbutse. Około godziny 13 kuluarem zesła wielka lawina, która pozrywała poręczówki i zniosła wszystkich wspinaczy. Dąsał, Gardzielewski i Otręba zginęli na miejscu, w pół godziny później nie żył także Heinrich. Chrobak ze złamaną nogą i w szoku oraz ocalały Marciniak zabiwakowali na miejscu tragedii. Nazajutrz rano Chrobak zmarł, natomiast Marciniak dotarł do wyposażonego w żywność i gaz obozu I (5850 m) – oślepy, gdyż w lawinie stracił okulary. Niewłocznie powiadomił o wypadku bazę.

Akcja ratunkowa ruszyła 29 maja, grupa cofnęła się jednak z powodu lawin. Inicjatywę przejął przebywający w Katmandu Artur Hajzer, który zorganizował mały zespół ratowniczy. Tworzyli go – oprócz niego – Nowozelandczycy Rob Hall i Gary Ball oraz trzech znających rejon Rongbuku Szerpowie. W załatwianiu formalności dopomógł Reinhold Messner. Po 55 godzinach podróży i podejścia, ratownicy dotarli pod przełęcz Lho La i do Andrzeja Marciniaka. 2 czerwca był on już w Katmandu. Dzięki łączności radiowej, w kraju środki masowego przekazu wydarzenia z Everestu mogły przekazywać bieżąco jako wiadomości dnia.

Dramat pod Everestem odkrył żalobą cały alpinizm polski, a pustki, jaka pozostała po naszych przyjacielach, do dziś – mimo upływu 15 lat – życie nie zdołało wypełnić. Zły los zrządził, że również Hall i Ball – świetni alpinści i wspaniali ludzie – pozostali w Himalajach na zawsze: Hall na Evereście a Ball na Dhaulagiri.

Józef Nyka

Nowa droga na Great Trango

Amerykane Kelly Cordes i Josh Wharton poprowadzili latem 2004 r. w alpejskim stylu nową drogę na ogromnym pd.-zach. filarze Great Trango Tower w Karakorum. W przeważającej części skalny filar liczy ok. 2200 m wysokości i kulminuje w zachodnim wierzchołku turni. Cordes i Wharton zabrali na wspinaczkę tylko jeden, ważący 12 kg plecak, dwie liny i żadnego sprzętu do wiercenia. Przejście zajęło im 4 i pół dnia, w ciągu ostatnich dwóch musieli obyć się bez wody. Z wierzchołka zeszedli lodowczykiem na północ, zdążając tuż przed nadciągającą burzą. Amerykanie nazwali swoją drogę *Azeem Ridge* (słowo „azeem” znaczy „wielki” w języku urdu) i ocenili trudności na 5.11 R/X, A2, M6.

Pn.-zach filar Great Trango był atakowany w 1990 r. przez zespół hiszpański pod kierunkiem Antonio Perezgrueso, który stosował ciężką taktykę himalajską, rozpinając liny poręczowe i instalując stałe obozy. W



Great Trango z pn.-zach. filarem (w środku zdjęcia) z lodowca Baltoro. Fot. J.Kurczab



E. Chrobak i A. Heinrich w bazie wyprawy na K2 w 1976 r. Fot. J. Kurczab

2000 r. pierwsze przejście niemal powiodło się innej amerykańskiej dwójce. Tim O'Neill i Miles Smart, również w stylu alpejskim, po 5 dniach wspinaczki dotarli do punktu położonego 150 m poniżej zach. wierzchołka, skąd przez 17 godzin wycyfowali się w szalejącej burzy.

Gasherbrum III po 29 latach

Znakomici himalaiści hiszpańscy – zdobywca Korony Himalajów Alberto Inurrategi oraz Jon Beloki dokonali 26 lipca 2004 r. II wejścia na Gasherbrum III (7952 m). W 1975 r. GIII – wówczas najwyższy dziewiczy szczyt świata – został zdobyty przez „kobiecą” wyprawę kierowaną przez Wandę Rutkiewicz. 11 sierpnia wierzchołek osiągnęła czwórka: Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Wanda Rutkiewicz, Janusz Onyszkiewicz i Krzysztof Zdzitowiecki.

Hiszpanie szli tą samą drogą co polska wyprawa – przez przełęcz pomiędzy GII i GIII a następnie kuluarem w pd.-wsch. ścianie. Trzeci uczestnik ataku szczytowego – Jose Carlos Tamayo – zawrócił z połowy kuluaru. Jedynym śladem, jaki napotkano po Polakach, był zarzewiały stałowy hak w pobliżu wierzchołka.

Północna ściana Dżigit

Ciekawe przejście padło udziałem zespołu Błażej Ceranka i Marcin Rutkowski. W odróżnieniu od większości ambitnych zespołów korzystających z przetartych górskich szlaków, członkowie KW Poznań wybrali góry Tien Szan w Kirgizji, gdzie w dolinie rzeki Karakoł (Kara Kol) zrealizowali ambitny projekt o wycenie rosyjskiego 5B. Północna ściana Dżigit (Dzhigit, 5170 m) o wysokości 1300 metrów została pokonana 3 września 2004 r. drogą W. Penczuka, tzw. *Przez sierp*, w czasie 14 godz. Droga ma charakter mikstowo-lodowy i w dużej części pokonana została bez asekuracji. Ostatni, bardzo ryzykowny odcinek grani podszczytowej został pokonany przy ograniczonej widoczności i załamującej się pogodzie, utrudniającej orientację w ścianie. Członkowie zespołu biwakowali w zejściu.

Jakub Radziejowski

Więcej o przejściu na stronie: www.kw.poznan.pl/artykudzigit.htm

Tragedia na Chan Tengri

11 alpinistów straciło życie w lawinie pod Chan Tengri. W tragicznym dniu 5 sierpnia o godz. 6.30 rano z Piku Czapajewa potężna lawina śnieżno-lodowa zeszła na idącą w górę dużą grupę (ok. 50) alpinistów. Śmierć poniosło 5 Czechów (w tym siostry Duškowe), 3 Rosjan i 3 Ukraińców, 2 ciężko rannych przetrzucono do szpitala. Z powodu rozmiarów lawiny i braku pogody, poszukiwanie ciał zajęło około tygodnia. Ponieważ nie było wiadomo, ilu alpinistów leży pod lodami (mówiono nawet o 40), tragedia przez kilka dni stanowiła główny temat światowych stron internetowych. W lipcu 1993 r. w tym samym miejscu zeszła lawina, w której stracili życie 2 alpiniści angielscy i 2 Rosjanie, m.in. słynny Walerij Chrzczyaty. Rzecz dziwna, w r. 1993 lawinę poprzedziła o 10 dni inna, w której zginęło m.in. 2 Polaków. W tym roku tragiczną lawinę o 20 dni poprzedziła śmierć Grzegorza Skorka po drugiej stronie masywu Chan Tengri.

Nasi w wysokich górach

Pod Gasherbrumem II (8035 m) bawiła 7-osobowa grupa Ryszarda Pawłowskiego, Gasherbrum I (8068 m) interesował Anię Czerwińską, nie było jednak pogody (wielkie śniegi), szwankowała też organizacja wypraw (międzynarodowa grupa, do której dołączyła Ania, uległa rozsypce). Na Diran (7257 m) w Karakorum próbowała wejść dwuosobowa Polsko-Pakistańska Wyprawa Przyjaźni w składzie Aleksander Lwow i Nazir Sabir. I tutaj szyki pokrzyżowała pogoda: na 25 dni w bazie – 15 z deszczem.

Natomiast pełnym sukcesem zakończyła się wyprawa Polskiego Klubu Alpejskiego na Cho Oyu (8201 m). W dniach 24 i 30 września 2004 na najwyższym punkcie stanęli wszyscy członkowie wyprawy: Tomasz Kobielski, Janusz Adamski, Bogusław Magrel (kierownik), Olaf Jarzemski i Bogusław Ogrodnik – jeden w drugiego debiutanci na ośmiotysięcznikach! O wejściu na Pik Pobiedy - czyt. na s. 32.

Rosjanie na Amin Brakk

Turnia Amin Brakk (5850 m) to 1200-metrowy granitowy monolit, położony w dość trudno dostępnej grupie Karakorum – Masherbrum Mountains, K6 Group, która już teraz staje się Mekką wspinaczy skalnych. Zachodnia ściana Amin Brakk jest znacznie poważniejszym i trudniejszym celem wspinaczkowym od sławnej Trango Tower. Od 1995 r. stała się celem pierwszoplanowym dla wspinaczy skalnych, szczególnie hiszpańskich.

Było kilka prób hiszpańskich i jedna koreańska, zanim wreszcie w 1999 r. Pep Masip, Miguel Puigdomenech i Silvia Vidal zdobyli dziewiczą ścianę, prowadząc drogę *Sol Solet* (VII, 6c+, A5), nie wchodząc jednak na sam wierzchołek. Ich przejście trwało 34 dni! Również czescy wspinacze mają swój udział w zdobywaniu ściany. W 1999 r. Marek Holeček, Filip Šilhan i David Št'astný poprowadzili filarem na prawym skraju ściany drogę *Czech Express*. Właśnie Czesi byli pierwszymi, którzy stanęli na wierzchołku Amin Brakk.

Jak pamiętamy, („Taternik” 3/2001 s. 26), nową drogę na ścianie Amin Brakk próbowali wytyczyć również Polacy Marcin Tomaszewski i Krzysztof Belczyński. Skończyło się na pokonaniu dziewiczej zach. ściany jednej z sąsiednich turni – Denbor Brakk.

Latem 2004 pod Amin Brakk zjawili się Rosjanie. Była to wyprawa z cyklu „Russian Extreme Project”. W skład jej wchodziło 4 wspinacze: Siergiej Kowalio (38), Aleksandr Łastoczkin (42), Walerij Rozow (kierownik) i Arkadij Sieriegin (45) oraz operator Lew Dorfman (43) i fotograf Dmitrij Lifanow (37). Celem wyprawy było nie tylko wejście na wierzchołek nową drogą, pomiędzy *Nankor* a *Czech Express*, ale również pierwszy w historii ściany skok z parapentem. Rosjanie szybko doświadczyli, jak zła może być pogoda w tym rejonie. Zanim zdolali zaporeczować pierwsze wyciągi, burze i śnieżyce zastopowały ich na tydzień. Zdobywanie nowych połączeń terenu, często w padającym śniegu i przy złej widoczności, zabrało wspinaczom prawie miesiąc. Ponieważ czas ich gonili i nie zanosilo się na poprawę pogody, Rosjanie zdecydowali się górne partie ściany przejść drogą czeską.

Ostatecznie 19 lipca o godz. 16 ekipa „Russian Extreme Project”, po pokonaniu we mgle zaśnieżonych i zalodzonych bloków szczytowych, zameldowała się na wierzchołku. Walerij Rozow wybrał dogodnie miejsce do skoku, położone około 300 m poniżej wierzchołka. Z samego czubka turni skok nie był możliwy, ze względu na jego kopulasty kształt. 22 sierpnia Rozow w kostiumie zaopatrzonego w rodzaj „skrzydeł”, wykonał efektowny tysięczmetrowy „B.A.S.E jump” z nad ściany Amin Brakk, przez prawie 30 sek. nie otwierając spadochronu. Taka długość wolnego lotu wynikała przede wszystkim z położenia jedyne go możliwego miejsca lądowania. Koledzy Rozowa przez 2 godziny czyścili je z zalegających gładów.

Rozow opowiadał o fantastycznych wrażeniach z lotu. Po tyłu dniach spędzonych w ścianie, cały czas uczepiony pionowej skały i broniący się przed odpadnięciem – nagle, w ciągu minuty poszybował w powietrzu, zaledwie o 3 metry mijając półkę leżącą poniżej miejsca startu, i wylądował na płaskim, bezpiecznym skrawku terenu! Kolejny cel „Russian Extreme Project” został osiągnięty.

30 lat w Roztoce

Schronisko w Starej Roztoce, któż go nie zna? Położone w sercu Tatr a jednocześnie na uboczu, gdzie cisza i spokój. Tu nie dociera zgiełk z asfaltu wiodącego powyżej. Osoby, dla których Tatry są sposobem na życie czują się tu, jak u siebie w domu.

Już 30 lat gazduje tu na kierowniczym stanowisku Marek Pawłowski. Na początku był zastępcą swojej mamy Pani Janiny Pawłowskiej, a obecnie wraz z Grażyną zawiaduje tym uroczym starym, bo prawie 130 letnim schroniskiem.

Schronisko to na trwałe wpisało się w historię taternictwa międzywojennego. To stąd wiodły drogi podejściowe w górne piętra Doliny Białej Wody. Jakby potwierdzeniem tego, była fotografia (pisze „była”, ponieważ jakiś pseudokolekcjoner pamiątek ukradł to zdjęcie) butów Jana Sawickiego, autora trawersu Zamarłej i partnera Stanisława Motyki, wykonana na jego własnych nogach. Jano przyjeżdżał do swojej ulubionej Roztoki w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku z Anglii, do której rzuciła go zawierucha wojenna.

Trzydzieści lat temu Pani Janina Pawłowska została kierownikiem tego obiektu. Tak się złożyło, że w dwa lata później przypadła rocznica 100 lecia Roztoki i z tej okazji została wyprawiona wielka feta.



Marek Pawłowski (po lewej) i autor notatki. Arch. P. Jasińskiego

Zostały wydane na tę okoliczność specjalne odznaki, którymi zostali obdarowani zaproszeni goście. Czas leci i nie ma już wśród nas Pani Janiny. Pamiętam jak wspominała swoje pierwsze gazdowanie tutaj, które było Jej podróżą poślubną, jednocześnie. Tadeusz Pawłowski po powrocie z wyprawy alpinistycznej w Ruwenzori w 1939 roku bierze ślub i październiku tegoż roku przejmując klucz schroniska. Ciężkie czasy odżywały we wspomnieniach. Były to najtrudniejsze lata w historii tego schroniska.

Marek kontynuuje rodzinne tradycje, będąc jednocześnie przewodnikiem tatrzańskim i starszym ratownikiem TOPR. Posiada wiele wyróżnień i odznaczeń a za działalność ratowniczą został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Ileż to razy wychodził z termosem czy noszami aby spróbować lub znieść potrzebujących pomocy. Równie często uczestniczy w dużych wyprawach w sąsiednich rejonach. Zawsze jest życzliwy i chętnie służy pomocą lub radą. To wszystko sprawia, że atmosfera w schronisku jest naprawdę wyjątkowa.

W połowie października na Wiktorówkach odbyła się skromna uroczystość odsłonięcia pamiątkowej tablicy poświęconej Pani Janinie Pawłowskiej, gazdowała w schronisku na Polanie Chochołowskiej.

Marku, dużo zdrowia i wytrwałości, gazduj jeszcze długo, aby przychodziło się do Ciebie jak do domu.

Piotr Jasiński

Polonica z czasopism amerykańskich

Lipcowy „Climbing” (nr 232) opublikował duży materiał o K2 z okazji 50. rocznicy pierwszego wejścia na ten szczyt, z tekstem wstępnym Carlosa Buhlera (wspomina w nim m.in. wspólną z W. Kurtyką i K. Wielickim próbę na zach. ścianie w r. 1994), oraz historią eksploracji i ciekawostkami zestawionymi – niestety nie bez znacznych niedociągnięć – przez Rica Conrada. Na dwóch zdjęciach pokazano Wandę Rutkiewicz, pierwszą kobietę na szczycie K2, ona też została wyróżniona wśród 16 osób najważniejszych w historii wspinaczkowej góry. Obie polskie drogi z 1986 r. potraktowano po macoszu, podając informację tylko o jednej z nich i to bez autorów przejścia. Jozef Rakonczaj (dwukrotnie na K2) nie jest oczywiście Polakiem, jak błędnie podano, lecz Czechem. Ciekawostką miało być rzekomo dotąd niepublikowane szczytowe zdjęcie z pierwszego wejścia, ale i to okazało się nieprawdą (w rzeczywistości zdjęcie pochodziło z zupełnie innej pionierskiej wyprawy w Himalaje), co pismo sprostowało w numerze wrześniowym (233). Współautor artykułu Ric Conrad jest historykiem i autorem takich książek jak „Climb to Glory” (biografia weterana 10. Górskiej Dywizji Williama Hacketa, kierownika wyprawy na K2 w r. 1960) oraz – dopiero zapowiedzianej – „In the Shadow of Chogo Ri” (poświęconej ekspedycji Eckensteina z 1902 r.).

Lipcowy „Rock&Ice” (nr 135) opublikował artykuł Chrisa (Krzysztofa) Belczyńskiego o polskim wspinaniu. Przypomnijmy, że autor ma już dobrą pisarską markę za oceanem (zob. „Gazeta Górską” 10/2003). Tekst nosi tytuł „Iron Will” i poświęcony jest częściowo czasom peerelowskim (paradoksalnie, co wynika też z treści artykułu, pomimo rozlicznych trudności obiektywnych, jak wiadomo – niezwykle owocnym dla krajowego alpinizmu) i częściowo osobistym wspomnieniem autora z jego wspinaczkowych, barwnych i pełnych emocji początków. Tekst jest napisany żywym i ładnym językiem, zdradzającym niemały talent pisarski. Belczyński opowiada o legendach z naszej historii, nieżyjących już: Andrzeju Zawadzie, Wandzie Rutkiewicz, Jerzym Kukuczce, Rico (Ryszardzie) Malczyku i Druciarzu (Jerzym Rudnickim), przypominając ich postacie lub co barwniejsze wydarzenia z ich górskich przeżyć. Opisane własne przygody odnoszą się do wielodniowego zimowego przejścia Filara Kazalnicy oraz tragicznego wypadku na Tahquitz w Kalifornii (upadek zespołu ze ściany), którego Belczyński był bezpośrednim świadkiem i uczestnikiem akcji ratunkowej. Całość uzupełniają kilka czarno-białych zdjęć, w tym zajmujące półtorej strony „ZOMO na ulicach miasta”. W numerze 137 „R&I” powinien się ukazać następny tekst Belczyńskiego o wyprawie na pd. ścianę Torre del Paine.

Władysław Janowski

Wypadki taternicze sierpień 2003-wrzesień 2004.

Adam Marasek



W omawianym okresie nie licząc zimowych wypadków lawinowych jakie stały się udziałem taterników i speleologów, i zostały już omówione w „Taterniku” (Nr 2/2004 s. 43), doszło tylko do kilku wypadków taterniczych.

W dniu 10.07.04, podczas wspinaczki na drodze Byczkowskiego na pn.-zach. ścianie Kościelca, prowadzący I wyciąg Tomasz K. odpadł i nie mając żadnych przelotów spadł do podstawy ściany. W wyniku upadku doznał złamania nogi, ręki, ogólnych potłuczeń i otarć.

Ratownicy zostali przewiezieni śmigłowcem w rejon wypadku. Po dotarciu na miejsce udzielili rannemu I pomocy. Następnie ranny w noszach francuskich został zniesiony w rejon Stawków Gąsienicowych, w miejsce, gdzie mógł przyziemić śmigłowiec Mi-2, i na jego pokładzie przewieziony do szpitala.

Do takich skutków odpadnięcia pewnie by nie doszło, gdyby Tomasz K. pozakładał przeloty i dał sobie szansę na asekurację.

W dniu 18.07.04, w rejonie Raptawickiego Muru zostali kontuzjowani przez spadające kamienie dwaj nowotarscy taternicy. Przybyli na pomoc ratownicy przetransportowali poszkodowanych do szpitala. Sam przebieg i dokładne miejsce wypadku owiane jest mgiełką tajemnicy, gdyż jak wiadomo TPN zakazał wspinaczek w tamtym rejonie.

W dniu 14.08.04, podczas wspinaczki Żebrem Czecha na Wierchu pod Fajki, będąc na drugim

wyciągu, prowadzący Wojciech G. Z Warszawy odpadł i spadł kilka m na półkę poniżej. W wyniku upadku doznał kontuzji twarzo-czaszki i nogi. Koledzy opuścili go do podstawy ściany i wezwali pomoc. W rejon wypadku ratownicy dolecieli śmigłowcem Straży Granicznej marki Sokół. Ratownik desantował się zjazdem z pokładu śmigłowca w pobliżu miejsca wypadku. Po udzieleniu rannemu taternikowi I pomocy ratownik, wraz z taternikiem, zostali podebrani przez śmigłowca na długiej linii bezpośrednio z miejsca wypadku i przeniesieni na lądowisko na Hali Gąsienicowej. Tam po przyziemieniu śmigłowca taternik został włożony na jego pokład i przetransportowany do szpitala. Gdyby nie Sokół taka akcja przy użyciu śmigłowca Mi-2 Lotniczego Pogotowia Ratunkowego nie byłaby możliwa.

W dniu 18.09. 04, Podczas wspinaczki na Filarze MSW prowadzący I wyciąg Artur T. z Zembrzyc odpadł wyrывая część przelotów. Asekurowany go partner wyhamował upadek tuż nad ziemią. W wyniku dość długiego lotu, uderzeń o skały i półki, taternik doznał kontuzji miednicy, wewnętrznych obrażeń i mocnych potłuczeń i otarć. Na ratunek ratownicy polecili śmigłowcem Mi-2. Po dotarciu na miejsce wypadku zaopatrzone rannego taternika, następnie w noszach francuskich przeniesiono go w miejsce, gdzie mógł przyziemić śmigłowca. Tam został włożony na jego pokład i przewieziony do szpitala. Gdyby nie szybki transport do szpitala, skutki wypadku mogły okazać się dla rannego taternika bardzo poważne. Do wypadku doszło przed godz. 7 rano, po dość chłodnej nocy i wcześniejszych opadach deszczu. W tych warunkach zawilgoczone skały najprawdopodobniej, w niektórych miejscach były pokryte cienką warstwą lodu. To było najbardziej prawdopodobną przyczyną upadku.

Kongres IKAR - CISA w Zakopanem

Apoloniusz Rajwa

Dużym wydarzeniem organizacyjnym był Międzynarodowy Kongres Ratowników Górskich, który odbył się w połowie października w Zakopanem. Jego organizatorem było Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe,

które po raz pierwszy w półwiekowej historii IKAR miało zaszczyt gościć delegatów państw członkowskich tej organizacji, z czego wywiązało się znakomicie, jak podkreślił w podsumowaniu kongresu Toni Grab, prezydent IKAR. W Polsce

Ratownictwo

kongres odbył się po raz drugi. W 1996 roku jego organizatorem z ramienia GOPR była Grupa Karkonoska. W 1948 roku Austriackie Towarzystwo Alpejskie zorganizowało międzynarodowe spotkanie służb ratownictwa alpejskiego, w którym uczestniczyły organizacje z Francji, Szwajcarii, Włoch, Austrii i Niemiec. Oficjalne zgromadzenie założycielskie miało miejsce w 1955 roku w Bolzano. GOPR został przyjęty do IKAR na członka zwyczajnego w czerwcu 1968 roku, a reaktywowany w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku TOPR, stał się członkiem pełnoprawnym w 2000 roku. Już po roku przynależności do tej organizacji, powierzono mu zorganizowanie w roku 2004 kongresu w Zakopanem.

Na kongres przyjechało 170 delegatów z dwudziestu państw, europejskich a także z Kanady i USA oraz dwóch przedstawicieli Chin, którzy



Otwarcie kongresu. Przemawia Józef Janczy prezes TOPR. Obok - Lesław Riemen - stały delegat TOPR do IKAR i Toni Grab - prezydent IKAR.

Fot. A. Rajwa

uczestniczyli w obradach w charakterze obserwatorów. Wiodącym tematem obrad była sprawa bezpieczeństwa ratowników podczas akcji ratunkowych. Jest to problem z którym coraz częściej spotykają się ratownicy górscy, nie tylko w Alpach, ale także w innych górach świata. Chociaż ratownicy są wysokiej klasy profesjonalistami w prowadzeniu trudnych akcji ratowniczych, to zdarza się, że giną w czasie akcji niesienia pomocy innym. Jak zachować maksymalne bezpieczeństwo i jakie są granice ryzyka nad tym dyskutowano w czasie obrad w czterech komisjach problemowych – ratownictwa naziemnego, lawinowej, ratownictwa z powietrza i medycznej.

Józef Janczy, prezes TOPR, w czasie swojego wystąpienia inauguracyjnego obrady kongresowe powiedział:

„Warzyńiec Żuławski, alpinista i ratownik TOPR, który zginął w masywie Mont Blanc w 1957 roku w czasie poszukiwania zaginionego przyjaciela,



Opuszczanie poszkodowanego na „tyrolce”.

Fot. A. Rajwa.

przed wyruszeniem na tę wyprawę miał podobno powiedzieć: „Nie zostawia się w górach przyjaciela, nawet jeżeli jest tylko zamarzną bryłą lodu”. Mariusz Zaruski, założyciel TOPR, zawsze przestrzegał ratowników, mówiąc: „Uważnie, uważnie, odważnie”. Obie te myśli, chociaż zasadniczo różne, stanowią dylemat w pracy ratowników świata. Powstaje pytanie: gdzie są granice ryzyka?”

Zdarza się, że mimo ostrzeżeń fachowców górskich, ludzie wyruszają w góry, a gdy znajdują się w sytuacji krytycznej, to wzywają pomocy, ponieważ uważają, że od tego są ratownicy, by wyruszyli im natychmiast na pomoc, bez względu na porę dnia i pogody, zgodnie z przyrzeczeniem ratowniczym. Często się zdarza, że ratownicy ryzykują swoim życiem. W 95-letniej historii TOPR zginęło w czasie pełnienia służby ośmiu ratowników górskich i dwóch pilotów śmigłowcowych.

Delegaci kilku państw omawiali na posiedzeniu połączonych komisji – naziemnej i lawinowej – najbardziej ryzykowne akcje ratunkowe jakie przeprowadzili w tym roku. Duże wrażenie wywarła na uczestnikach kongresu relacja z najtrudniejszej akcji ratunkowej na wschodniej ścianie Matterhornu, po trójce polskich wspinaczy, w styczniu tego roku. Kierował nią Szwajcar Bruno Jelk, przewodniczący komisji ratownictwa naziemnego IKAR. Po dwudniowym rozpoznaniu i zlokalizowaniu oczekujących pomocy, akcję przeprowadzono w nocy w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych, przy prędkości wiatru dochodzącej do 130 km/godz i temperaturze powietrza minus 30 stopni. Trójce polskich wspinaczy uratowano, ale wymagało to podjęcia ogromnego ryzyka ze strony pilotów śmigłowcowych i ratowników, czego uratowani nie docenili. Innymi przykładami działania ratowników na granicy ryzyka, były wyprawy ratunkowe na Grossglocknerze oraz w Słowenii na szczyt Brana.

Z zainteresowaniem przyjęto wystąpienie Lesława Riemena, stałego delegata TOPR do IKAR, który opowiedział o zimowej akcji ratowniczej na lawinisku w Małej Świstówce, będącej przykładem wzorowej współpracy ratowników TOPR i słowackiej HZS. O zintegrowanym systemie łączności w polskim ratownictwie górskim mówił Wojciech Murawski, reprezentujący Plus GSM, sponsora GOPR i TOPR. Przedstawiciele GOPR-u – Piotr Kapłon i Jan Maciej Krzak omówili zasady szkolenia z zakresu bezpieczeństwa w górach metodą e-learning. Ten program profilaktyki górskiej spotkał się z dużym zainteresowaniem uczestników kongresu.

W komisji medycznej rozmawiano na temat utworzenia w poszczególnych państwach członkowskich nowej specjalizacji – medycyny górskiej a także o tym jak należy postępować w przypadku ukąszenia przez jadowite węże, co jest problemem w niektórych górach świata. Zajmowano się także problemami okulistycznymi w warunkach górskich, a na zajęciach praktycznych prezentowany był jeden ze sposobów ewakuacji z ciasnych szczelin, co może przydać się w ratownictwie lodowcowym i jaskiniowym. W komisji ratownictwa z powietrza wiele uwagi poświęcono ewakuacji z kolejek linowych oraz tematyce trudnych lotów w warunkach nocnych w terenie górskim.

Pokazy technik ratowniczych przygotowali na skałach Wyżniej Bramy Chochołowskiej młodzi ratownicy TOPR. Udały się mimo niesprzyjającej pogody, a ponad dwustu uczestników kongresu, wraz z osobami towarzyszącymi, podziwiali profesjonalizm naszych ratowników, którzy udowodnili, że zarówno ratownictwo ścianowe, jak i techniki ratownictwa stosowane w jaskiniach, zostały przez nich świetnie opanowane. Na kilkudziesięciometrowej ścianie Olejarni ratownicy TOPR dali pokaz zwożenia pozoranta w noszach do podnóża ściany, a ratownicy z Horskjej Záchrannej Służby ewakuowali pozoranta ze ściany, wyciągając go w górę przy pomocy specjalnego urządzenia. Był też pokaz ratownictwa jaskiniowego – transport pozoranta od wylotu Jaskini Rybiej na „tyrolkę” rozwieszoną na wysokości kilkunastu metrów nad doliną, a następnie opuszczenie go w dół i przetransportowanie do karetki.

W ostatnim dniu kongresu dokonano wyboru władz IKAR na następną kadencję. Prezydentem został wybrany ponownie Szwajcar Toni Grab, a jego zastępcą Austriak Reinhold Dörflinger, natomiast skład zarządu w stosunku do poprzedniego uległ tylko nieznacznym zmianom. W czasie kongresu, firmy zagraniczne, produkujące sprzęt do ratownictwa górskiego, miały swoje stoiska w miejscu obrad, czyli w hotelu Mercure Kasprowy. Można było zobaczyć różne modele plecaków z balonami, firmy ABS, urządzenia elektroniczne do wykrywania zasypanych w lawinach firmy Ortovox i Arva, najnowszy model „Worka Gamowa” używanego w górach wysokich w przypadku wystąpienia ostrych objawów choroby wysokościowej oraz urządzenie do wyciągania poszkodowanych ze szczelin lodowcowych firmy Tyromont.

Następny kongres odbędzie się jesienią przyszłego roku we Włoszech, w Cortina d'Ampezzo.

Góry w konkursie olimpijskim w Atenach

Mieczysław Rożek, taternik i działacz Klubu Wysokogórskiego w Poznaniu, odniósł niedawno „medalowy” sukces na towarzyszącej Igrzyskom Olimpijskim w Atenach wystawie filatelistycznej. Redakcja „Taternika” postanowiła przybliżyć go Czytelnikom i przeprowadziła wywiad.

„Taternik”:

Kiedy dowiedziałeś się, o twoim udziale w Olimpiadzie?

Mieczysław Rożek:

Było to w maju – tuż po wystawie „Slovolimphila 2004” w Bratysławie, która była eliminacją (podobnie jak w sporcie) do igrzysk olimpijskich w Atenach. Awans dawało uzyskanie odpowiednio wysokiego wyróżnienia – np. medal pozłacany. W ten sposób na wystawę „Olimphilex 2004” wyłoniono ekipę liczącą 13 osób z 14 eksponatami filatelistycznymi, reprezentującymi historię Olimpiad, dyscypliny olimpijskie i literaturę związaną z tym tematem. W ten sposób zostałem olimpijczykiem...

Rozumiem, że pojechałeś na igrzyska olimpijskie do Aten.

Niestety nie. Pojechały tam tylko zbiory przewiezione przez komisarza krajowego. W przypadku Polski był nim znany wystawca z Warszawy – Roman Babut. Organizatorzy i międzynarodowy Komitet Olimpijski pokrywali koszty organizacyjne wystawy, udział komisarzy i jurorów. Niestety nie znalazłem sponsora.

Wspomniałeś o tym, że czujesz się olimpijczykiem

Tak myślę, ponieważ wystawa organizowana przez MKOL (na dyplomie widnieją podpisy Juan Antonio Samarancha i obecnego przewodniczącego MKOL Belga J. Rogge) i światową organizację filatelistyczną, ma charakter rywalizacji – może

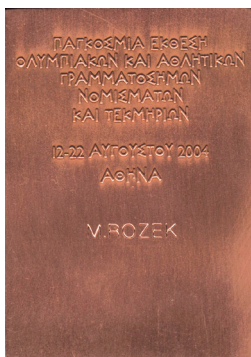
nie zupełnie *stricte* sportowej ale podobnej, bo wystawcy, na zasadach określonych przepisami, rywalizują o medale. Podobnie jak w sportach ocenianych punktowo, nad wszystkim czuwa międzynarodowe jury. Poza tym

– jest to jedyna wystawa konkursowa wśród wielu imprez kulturalnych towarzyszących igrzyskom w okresie zmagania sportowych, a mających swe korzenie jeszcze w czasach antycznych. Po Olimpiadzie w 1948 r. zaprzestano nagradzania medalami zwycięzców konkursów poezji, sztuki itp, za wyjątkiem filatelistów. Powinniśmy pamiętać o zdobyciu złotego medalu olimpijskiego – bo właśnie minęła 80 rocznica tego wydarzenia – przez może już trochę zapomnianego polskiego poety Kazimierza Wierzyńskiego. Otrzymał go za zgłoszony do konkursu na Olimpiadzie w Paryżu w 1924 r. wiersz „Laur Olimpijski”.

Myślę, że możesz już zdradzić jaki otrzymałeś medal?

Za swój eksponat „Ku szczytom gór” otrzymałem medal duży srebrny (w filatelistyce istnieje szerszy podział medalowy). Srebro olimpijskie to marzenie wielu sportowców i tym większa radość, że otrzymałem ten medal w bardzo niewymiernej dyscyplinie, jaką jest prezentacja materiału filatelistycznego. Dla mnie w zasadzie podwójna radość, bo po pierwsze – uprawiałem kiedyś sport wyczynowy i marzyłem o Olimpiadzie i medalu, a po drugie – to wyróżnienie za mało znany ogółowi temat gór i wspinaczki, to godne reprezentowanie Polski i naszego środowiska w Atenach. W kontekście tego często pada pytanie, a medal Jurka Kukuczki? Nieporozumienie polega na tym, że Jurek nie otrzymał medalu olimpijskiego lecz srebrny ORDER medalu olimpijskiego.

Co ma wspólnego wspinaczka z igrzyskami i czy twój eksponat był jedyny w tym temacie na Olimpiadzie?



W Atenach były jeszcze dwa zbiory o podobnej tematyce – jeden ze Słowenii a drugi z Armenii – na ogólną liczbę 260 wystawców z 34 państw. Ponieważ w dziejach Olimpiad przyznawano medale za osiągnięcia w alpinizmie, dlatego uznaje się wspinaczkę za dyscyplinę której na razie nie ma w programie, jak i zresztą paru innych.

Co robiłeś wcześniej, zanim trafiłeś do Klubu Wysokogórskiego i kiedy zaczęła się twoja pasja kolekcjonerska?

Moją dyscypliną było strzelectwo kulowe – pistolet dowolny. W tej konkurencji byłem – posiadaczem drugiego kółka Olimpijskiego – takie nadawano młodym sportowcom na podstawie wyróżniających się wyników. Piąte kółko otrzymywała osoba wyjeżdżająca na Olimpiadę. Przejście z juniorów do seniorów było bolesnym zwrotem. Po rozstaniu z klubem strzeleckim zainteresowałem się innym sportem – górami i od 1978 r. jestem członkiem Klubu Wysokogórskiego w Poznaniu. Z górami wiąże się też pasja związana z filatelistyką tematyczną. Moim wyjazdom w góry i wspinaczce, towarzyszyło od 1976 r. kolekcjonowanie wszystkiego na temat gór. Ponieważ zawsze coś zbierałem, dlatego fascynacja górami ukierunkowała też temat w filatelistyce.

Myślę, że na Olimpiadę, jak każdy sportowiec, przygotowałeś coś specjalnego?

Zasadniczo zmienić eksponatu się nie da w tak krótkim terminie (jest to 80 kart wystawowych formatu A4), tym bardziej, że w międzyczasie byłem jeszcze w górach Prokletije. Budowa eksponatu – jest to rzecz by można, „praca magisterska” na dany temat, z dokładnym planem,



który trzeba zrealizować, prezentując tematyczne walory filatelistyczne o jak największej różnorodności. W zasadzie można tylko wymienić materiał gorszy na lepszy, ciekawszy i bardziej unikalny. Wśród paru zmian do eksponatu trafiła kartka pocztowa i znaczek z 1924 r – z wyprawy na Mount Everest z udziałem G. Mallory’ego.

MT. EVEREST EXPEDITION, 1924.
Leader - - Gen. Hon. C. G. Bruce, C.B.



Mt. Everest from the Base Camp in the Rongbuk Valley, TIBET.

Dispatched by Postal Runner to India.

*Best wishes -
J. D. L. Noel - Captain
- Mt. Everest Expedition*

The Film of this great Exploit will be shown throughout the country, commencing at the Scala Theatre, London November, 1924.

Właśnie w tym roku minęła cicho i bez medialnego szumu 80 rocznica jego śmierci. O kartkach pocztowych z tej wyprawy można by zapisać następną stronę „Taternika”. O tej pocztówce skrótowo można powiedzieć tak: kartkę na wyprawę przygotowano wcześniej z wszelkimi zasadami pocztowymi. Ilustracja – widok na M. Everest z Rongbuk, w opisie, że przeniesiono posłańcem, znaczek wydany na potrzeby wyprawy o wartości 4 anna (¼ rupi) – opłata posłańca, kasownik i doklejone znaczki Indii. Znaczek wyprawy ma w narożnikach swastykę – staroindyjski symbol kultu religijnego – ale to tylko pozornie ta sama która nosili Niemcy – ta ma odwrócone ramiona. Wszystkie życzenia na niej wypisano odręcznie jednym charakterem pisma (wszystkie znane mi pisał kpt. J.B. Noel – fotograf i filmowiec wyprawy). Tylko adresy są różne i pisane różnym pismem. Kasowniki pocztowe, poza własnym stosowanym w bazie Rongbuk, pochodzą z dwóch miejsc: Kalkuty i Dardżylingu. Pełna komercja w 1924 r.! Ale cóż, nie jest tego dużo w świecie, więc powoli staje się rarytasem.

Na koniec pytanie dotyczące słowa „praca magisterska”, jak mamy to rozumieć?

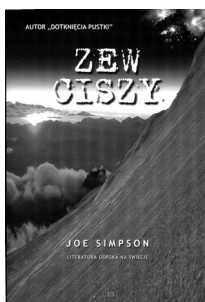
Plan zbioru rozpisany w najdrobniejszych szczegółach musi być realizowany konsekwentnie przez autora w prezentowanym materiale filateli-

stycznym o szerokim spektrum różnorodności. W temacie takim jak mój, zaczynam zbiór od początku kiedy kształtowała się ziemia i góry (tektonika, wulkany, dryf kontynentów) i idąc dalej, pokazuję powstawanie krajobrazu górskiego (wietrzanie, rzeki, lodowce), człowiek pierwotny, wspinaczka, alpinizm, himalaizm. Piękno gór, działalność człowieka (drogi, trasy narciarskie, hotele, linie energetyczne, zamki, klasztory i kościoły), także parki narodowe. Za tym idzie pokazanie samej wspinaczki, techniki wspinaczkowe, zjazdowe, wspinaczka w lodzie i śniegu. Sprzęt, prasa klu-

kowa i organizacyjna. Organizacje turystyczne, wysokogórskie, klubowe, światowe, organizacje ratownicze – zasady ratownictwa. Festiwale filmów górskich, poezja, sztuka, krzyże w górach i na szczytach. Początek w górach i korespondencja z wypraw. Wielkie komercyjne wyprawy, znane postacie, rywalizacje o koronę Himalajów, Ziemi, itd. Sam widzisz, jak wiele spraw należy opisać i zilustrować walorami pocztowymi.

Należą się więc wielkie gratulacje! Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Janusz Kurczab



Nowości wydawnicze

Joe Simpson: „Zew ciszy”

Wydawnictwo Stapis, Katowice 2005. Seria Literatura Górską na Świecie. 256 stron, 32 zdjęć cz.-b.

Przejmująca lektura. Nikt lepiej od Simpsona nie przedstawi fizycznych i psychicznych zmagania we wspinaniu (...). Z niezwykłą pasją napisana książka, jedna z tych, których zapomnieć nie można, jak zresztą wszystko, co do tej pory Simpson napisał.

„Sunday Telegraph”

Przejmująca i osobista książka stanowiąca swoisty zbiór znaków zapytania. Należy przestrzec, iż pytania dreczące autora należą do niezwykle zaraźliwych. Wiele znajdzie w najnowszej książce Simpsona inspirację do jeszcze gorętszej fascynacji górami. Nie brakuje jednak też argumentów podających w wątpliwość zasadność uprawiania alpinizmu.

Książka o życiu i śmierci, książka o miłości do gór i utracie tej miłości, książka o wspinaniu, lataniu, o ludziach gór, książka o Eigerze

Stanisław Pisarek – wydawca

Ryszard Pawłowski: „Smak gór”

Wydana wspólnie przez InfoMax i Stapis w serii Literatura Górską na Świecie, Katowice 2004. 206 stron, format B5 (175 x 250), kilkadziesiąt zdjęć. Cena 29,90 zł. brutto.

Niezwykły bohater i bardzo interesująca lektura.

Książka, którą można czytać na wiele sposobów. W bogatym polskim piśmiennictwie inspirowanym górami „Smak gór” ma swoje jedyne i niepowtarzalne miejsce.

Michał Jagiełło

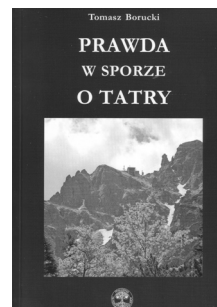
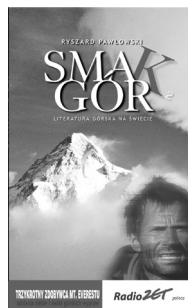
Każdy z nas próbuje sterować swoim życiem. Tylko niewielu się to udaje. Rysiek Pawłowski należy do tych nielicznych szczęśliwców, którzy na swą życiową drogę dostali mocny ster do rąk i potrafią go używać. Jak mało kto osiąga wyznaczone cele, a to – połączone z miłością do gór – daje niezwykle doznania nieprzeciętnego człowieka. O tym właśnie jest ta książka. Warto do niej zajrzeć i dzięki niej być wraz z Ryskiem w miejscach, w których czas płynie inaczej, w których liczą się inne – może ważniejsze wartości.

Grzegorz Bielejec i Stanisław Pisarek – wydawcy

Tomasz Borucki: „Prawda w sporze o Tatry”

Wyd. Stowarzyszenie „Pracownia na rzecz Wszystkich Istot”, Bystra k. Bielska-Białej 2004. Str. 156.

Na Podhalu mawiają, że są trzy rodzaje prawdy: *cysto prawda, tys prawda i g... prawda*. Celem tej publikacji jest udokumentowanie „czystej prawdy” i tylko PRAWDY w sporze o Tatry, o istotę Tatrzańskiego Parku Narodowego. Znaleźnię prawdy w sporze o Tatry wydaje się na pozór zadaniem bardzo trudnym. W rzeczywistości jednak jest proste, jeśli tylko zastosujemy „myślenie według wartości”. (*fragment książki*)



Wielkie góry otoczone morzem
Morze jest wieczne, góry trwają
Mali ludzie podobni falom
Góry są wieczne – ludzie przemijają.

Yakamochi 1785

(Przekład z jęz. niemieckiego Małgorzata Kielkowska)

Magdalena Jarosz (1981–2004)

Urodziła się 21 czerwca 1981 roku w Tarnowie. Jeszcze w czasach licealnych jej pasją stało się chodzenie po górach. Poświęcała im każdą wolną chwilę. Wiele razy wraz z przyjaciółmi, których miała nie mało, spędzała w górach noce pod namiotem, także zimą. Doskonale poznała Bieszczady, wiele razy dojeżdżała tam rowerem. Na wakacje jechała na wschód. Najpierw był wyjazd nad Jezioro Bajkał, potem, w kolejne wakacje, Kirgizja. W planach na przyszły rok był Ural. W górach poznała przyrodę i wkrótce podjęła studia na Wydziale Biologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mimo że miała jeszcze na to czas, pisała już pracę magisterską. Wynikało to z jej fascynacji „robaczkami”. Godzinami potrafiła je oznaczać, malując plamki korektorem, a później śledząc ich ścieżki.

Mimo filigranowej postury, zapisała się na

kurs taternictwa jaskiniowego w Sądeckim Klubie Taternictwa Jaskiniowego PTTK. I jaskinie stały się chyba jej największą pasją. Każde wejście do jaskini dawało jej wielką satysfakcję. Im trudniejsze tym było przez nią bardziej cenione.

Egzamin na wymarzoną Kartę Taternika zdała 29 grudnia 2003 r. Ale nie zdążyła już jej odebrać. Góry zabrały nam Ją w sposób okrutny. Była dopiero u progu swego dorosłego życia. Zginęła wraz z przyjaciółmi 28 stycznia 2004 r. w lawinie w Małej Świstówce podczas podejścia pod otwór Jaskini Małej w Mułowej. Odeszła za Wielką Grań, lecz zostanie w naszych sercach.



Marek Lorczyk

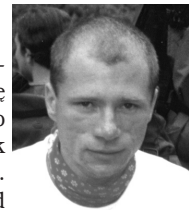
Piotr Trzeszczoń (1973-2004)

Urodził się 24 czerwca 1973 r. w Nowym Sączu. Od 1996 r. był członkiem Sądeckiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego PTTK. Ukończył Akademię Ekonomiczną w Krakowie. Pracował w Banku Śląskim, najpierw w Nowym Sączu, potem w oddziale w Krakowie, dokąd został przeniesiony jesienią 2003 r. Z konieczności przeprowadzki do Krakowa nie był zadowolony – sprawiła, że był dalej od gór i miał na wszystko mniej czasu. Bo w Sączu miał wszystko pod ręką. Jeździł na rowerze, zaczął ćwiczyć karate, doskonale też pływał.

Jaskinie, to było to czego szukał. Mógł w nich sprawdzić swą odporność fizyczną i psychiczną. Był zawsze uśmiechnięty, życzliwy dla innych i zawsze gotowy do pomocy innym. Miał żelazną kondycję – wydawało się, że podejście z ciężkim plecakiem pod jaskinię nie robi na nim wrażenia. Zawsze w trudniejszych chwilach mówił „jestem twardy, dam radę”. Wspiął się też w Alpach, a wolne chwile spe-

dzał na ścianie wspinaczkowej. Ostatnio zakochał się w nartach. Nie chodziło o jazdę na stoku, bo tam tłok i brak kontaktu z naturą. Wolał iść na nartach przed siebie, albo samotnie, albo z przyjaciółmi. Tak też było w

Jego ostatnim dniu. Pod otwór Jaskini Małej w Mułowej podchodził na nartach i planował później zjazd na nich z Ciemniaka. Miał wejść na biwak do jaskini – marzył o jej eksploatacji. Zginął w czasie tego podejścia wraz z przyjaciółmi w lawinie w Małej Świstówce 28 stycznia 2004 r. Teraz będzie nam towarzyszył w naszych wyprawach do jaskiń, i cały czas będzie w pobliżu tych, których w ostatnim czasie pokochał. A pamiętać będą o Nim wszyscy, którym dane było Jego poznać.



Marek Lorczyk

Daniel Rusnarczyk „Iwo” (1985–2004)

Urodził się 6 lipca 1985 r. w Białymstoku, ale od dzieciństwa mieszkał z rodzicami i braćmi w Kamienicy. Od małego planował robić wielkie rzeczy, tak jak każdy mały chłopiec. Najpierw chciał skakać na nartach, ale okazało się, że mając 15 lat był już na to „za stary”. Zaczął wtedy chodzić po okolicznych górach. Najpierw blisko domu, później przeszedł całe Gorce. Zainteresował się survivaliem, wstąpił do Strzelca. Rozpoczął naukę w Zespole Szkół w Tymbarku w klasie o profilu wojskowym. Na wiele szkoleń wyjeżdżał w góry i na poligony. Cieszył się, że wszystkiemu daje radę, a jednocześnie ciągle czegoś szukał. Ukończył kurs spadochronowy. Dzięki przyjaciółom usłyszał o jaskiniach. Musiał jednak na nie poczekać, bo miał wtedy dopiero 16 lat. Ale już rok później pojawił się na kursie taternictwa jaskiniowego w Sądeckim Klubie Taternictwa Jaskiniowego PTTK. Szybko okazało się, że jaskinie były tym, czego szukał. Każdą wolną chwilę chciał spędzać albo w jaskini, albo wspinając

się albo ćwicząc technike. Bo był perfekcjonistą, jeśli coś robił to do końca i dokładnie. Rzadko spotyka się dzisiaj młodych ludzi o tak sprecyzowanych poglądach, takich, którzy wiedzą, co to dobro, a co zło. Pozostaje tylko żal, że tak krótko było nam dane z Nim przebywać. I zazdrościć należy rodzicom, że mieli takiego syna. A wszystkim życzyć można, by mieli takich Rodziców. Niestety góry nie wybierają, a raczej wybierają tylko tych dobrych. Zginął wraz z przyjaciółmi 28 stycznia 2004 r. w lawinie w Małej Świstowce podczas podejścia pod otwór Jaskini Małej w Mułowej. Gdy odchodzą tak młodzi ludzie pojawia się bunt i pytanie „dlaczego?” Ale nikt na razie nie zna na nie odpowiedzi, bo poznamy ją dopiero, gdy sami znajdziemy się po tamtej stronie...



Marek Lorczyk

Marek Sokołowski (1945 – 1994)

3 lipca 2004 r. minęło 10 lat od śmierci Marka Sokołowskiego. Wspinał się w Tatrach w 60-tych latach ub. wieku i kontynuował tym samym tradycję rodzinnej „Sokołowszczyzny”. Partnerami Marka byli czołowi taternicy tego okresu. Wymienię tu tylko dla pamięci nieżyjących już dziś A. Byczkowskiego, M. Pogorzelskiego czy J. Woszczerowicza. Dokonał paru pierwszych przejść oraz przebył szereg najtrudniejszych dróg w otoczeniu Hali Gąsienicowej i Morskiego Oka. Należał do grona osób tworzących niezapomnianą atmosferę obu schronisk. Jak dziś widzę zatłoczoną wieczorem werandę oraz wchodzącą p. Wandę Łapińską „Dziunię” pytającą – a gdzie jest Marek? Z jej synem Andrzejem w wolnych od wspinaczki dniach przewoził „Świstakiem” turystów na drugą stronę M. Oka. Licznemu gronu znajomych taterników, i nie tylko, udzielał gościny w swoim rodzinnym domu „Ornak” w Zakopanem, z czego chętnie korzystano w tamtych trudnych latach. Spoczywa w grobowcu Sokołowskich na Pękowym Brzysku parę zaledwie kroków od tablicy mówiącej o ludzkiej pamięci, którą tak wszyscy chętnie czytają.

Stanisław Sokołowski

Marka znałem „od zawsze”, bo w warszawskim bloku nasze rodziny mieszkały obok siebie. Razem graliśmy w klubie w tenisa i razem zaczęliśmy taternicką „kariere”. Gdy przyjechaliliśmy (obaj byliśmy jeszcze w szkole) na wakacje do Zakopanego, Marek był w naszym zespole w sposób oczywisty „doświadczonym wspinaczem” – bo był już z ojcem na Mnichu. „Pożyczyliśmy” ze schowka na sprzęt w „Ornaku” starą konopną linę i trzy haki, i ruszyliśmy w góry korzystając z przewodnika Świerza stojącego we wspaniałej górskiej bibliotece prof. Sokołowskiego. Gdy sprawa się wydała, mieliśmy za sobą grań Mięguszowieckich i kilka innych tego typu wspinaczek. W efekcie jeden z asystentów profesora, a był nim Andrzej „Negro” Sławiński, pomógł nam zapisać się jesienią 1960 r. do Koła Warszawskiego KW. Dołączył do nas znany mi już wcześniej Jacek Dyzma



Woszczerowicz (syn znanego aktora). Razem skończyliśmy pod okiem Lucka Sadusia tatrzański kurs i razem wspinaliśmy się przez trzy kolejne sezony aż do śmierci Jacka w lawinie pod Małym Kieźmarskim wiosną 1964 r. Jeszcze w lipcu tego samego roku Marek brał udział w pierwszych próbach przejścia Wielkiego Ścieku na Kotle Kazalnicy (drogę tę Janusz Kurczab, Samek Skierski i ja dedykowaliśmy Jackowi), ale wycofał się w tego przedsięwzięcia. Potem nasze górskie drogi rozeszły się, chociaż w „życiu cywilnym” spotykaliśmy się aż do Jego śmierci. Marek wspinał się dorywczo jeszcze dwa czy trzy sezony (m.in. nowa droga z Andrzejem Byczkowskim na Zadnim Kościelcu), a potem uprawiał narciarstwo. Gdy zmarł, byłem w Alpach i nawet nie mogłem go odprowadzić na stary zakopiański cmentarz.

Andrzej Skłodowski

Peter K. Schoening (1927 – 2004)

W wieku 77 lat, po długiej walce z rakiem, zmarł jeden z czołowych protagonistów złotej epoki alpinizmu wyprawowego – lat 50-tych ub. wieku – Amerykanin Pete Schoening. W 1958 r. Schoening był kierownikiem sportowym wyprawy na jeden z ostatnich dziewiczych ośmiotysięczników – Gasherbrum I (8068 m). Wyprawa zakończyła się pełnym sukcesem, a Schoening wraz z Andy Kauffmanem stanął na wierzchołku jedyne „amerykańskiego” ośmiotysięcznika.

Miał również szereg innych osiągnięć w różnych górach świata, m.in. w 1952 r. pierwsze wejścia na Mount Augusta (4288 m) i wschodnią grania na King Peak (5174 m) w St. Elias Range na terytorium Yukonu. W grudniu 1966 był jednym z 10-osobowej grupy pierwszych zdobywców najwyższego szczytu Antarktydy, Mount Vinson (4897 m), brał też wtedy udział w pierwszych wejściach

na 3 inne wysokie szczyty. W 1974 r. prowadził pierwszą amerykańską wyprawę w Pamir, podczas której dokonano wejścia na Pik Lenina (7134 m). W wieku 68 lat wszedł na Aconcaguę (6961 m) i na Kilimandżaro (5893 m).

Jakkolwiek doceniane były jego osiągnięcia sportowe, to jednak w USA stał się legendą głównie dzięki wyprawie Houstona na K2 w 1953 r. Schoening brał wtedy udział w heroicznej akcji znoszenia ciężko chorego Arthura Gilkeya z obozu VIII na Ramieniu K2 (wysokość prawie 7700 m). Nastąpił wówczas dramatyczny wypadek – wskutek poślizgnięcia się jednego z Amerykanów i splątania lin, zaczęła spadać piątka wspinaczy. Schoening zdołał zatrzymać upadek kolegów, ratując ich i siebie od niechybnej śmierci.

Janusz Kurczab

Zdeno Zibrin (1931 – 2004)

29 września 2004 po długiej chorobie zmarł znany, szczególnie generacji lat 60-tych, słowacki alpinista i skialpinista, Zdeno Zibrin. Urodził się 2 maja 1931 r. w Breznie koło Bańskiej Bystrzycy, był inżynierem chemikiem, choć pracował też jako meteorolog a nawet jako legendarnej siły „nosić” (beczka 96 kg wagi do chaty pod Dziumbirem). Wybitną taterniczką była jego żona Olga Lásková-Zibrinová, do dziś aktywna w górach. Z Tatr pamiętamy liczne jego wspinaczki, szczególnie wielkie powtórzenia, jak np. II przejście Komina Łapińskiego na Galerii Gankowej w r. 1954. Wejść w Tatrach zanotował 180, 70 w zimie, jest w tym przeszło 20 nowych dróg i premier zimowych. WHP podaje 7 jego nowych dróg z masywu Hrubego z samego tylko lata 1954 (z Josefem Psotką). W r. 1955 uczestniczył w zimowym trawersowaniu grani Tatr Wysokich. Był instruktorem i ratownikiem (głównie w Niskich Tatrach). Na nartach doznał skomplikowanego złamania obu nóg, zdawało się, że nie będzie mógł chodzić – wrócił do formy, jednak skutki wypadku odczuwał przy wspinaniu. Sukcesy tatrzańskie otworzyły mu drogę w Alpy,

skąd pamiętamy go w parze z Czechem Radanem Kuchařem. Dwójka ta często działała równolegle z naszymi zespołami, tak było np. na zachodniej Petit Dru (1957) czy na północnej Eigeru (1961). W r. 1959 zrobili Filar Walkera, w 1961 północną ścianę Matterhornu, w 1964 „Cassina” na Piz Badile, wspólnie zaliczyli w Alpach kilka innych markowych dróg. „Jejich społeczne pusobeni je pro moderni československé horolezectvi symbolické” – oceniali później Dieška i Širl. Zdeno przechodził też ambitne drogi w Pirenejach i w Kaukazie (np. pn. ścianę Dych Tau 1962). Wybitna działalność przyniosła mu tytuł zasłużonego mistrza sportu oraz złote odznaki IAMES i HS TANAP. Jest bohaterem książki Kuchařa „10 velkých stěn” (1963, 2003), we dwójkę napisali tom „Z Tatier na Eiger” (1964). Po okresie wzlotów, Zdeno uprawiał narciarstwo i turystykę górską, głównie w Niskich Tatrach, żywo też uczestniczył w spotkaniach i imprezach weteranów (aż po Jamesácki Tydzień 2003). Poszedł do taternickiego nieba – napisały słowackie gazety.

Józef Nyka

CONTENTS

Mount Temple in Winter (R. Slawinski).....	1
Polish winter season 2004 in the Tatra Mts (A. Paszczak).....	5
Reminiscences from the 2003 rock climbing season (J. Czech).....	8
Comments on proposals for new topographic names in the Tatra Mts (T. Borucki).....	9
Report of the Expeditions and Standarization Committee of the PZA (Polish Mountaineering Association).....	11
Awards for the 2004 winter season.....	18
Helicopter for the Tatras (J. Rzakowski).....	19
Climber's Card – Correspondence with the ombudsman.....	21
Successful spring in the Himalaya.....	24
2003 in the high mountains – Part I.....	24
Anniversaries, anniversaries.....	29
Edmund Hillary and... Kangbachen (W. Branski).....	30
Cordillera Chacua (J. Kielkowski).....	32
Sport climbing (A. Kaminski).....	35
Ski-mountaineering (J. Bilski).....	38
Caving Activity.....	42
Miscellaneous.....	48
Mountaineering and Culture.....	51
Obituaries.....	53
Letters to the Editor.....	59

ANTYKWARIAT GÓRSKI „FILAR” H. Rączka
Alabastrowa 98, 25-753 KIELCE
tel. 0413456219, 0502397162
Adres e-mail: filar@antykwiariat-filar.pl
Oferta Internet: www.antykwiariat-filar.pl

WARSZAWA
tel. (0-22) 658 46 26
fax (0-22) 822 44 56
ul. Grójecka 46/50, tel. (022) 668 66 08
ul. Kaliska 8/10, K1 tel. (022) 822 64 81
ul. Kaliska 8/10, K2 tel. (022) 822 54 87

SKLEP PODRÓŻNIKA

e-mail: spw@rubikon.pl

KRAKÓW
ul. Szujskiego 2
tel. (012) 421 89 22
ul. Jagiellońska 6
tel. (012) 429 14 85

www.traveler.com.pl

BIELSKO-BIAŁA
ul. Wzgórze 9
tel. (033) 812 36 48
KATOWICE
pl. Wolności 8
tel. (032) 353 26 20

TATERNIK

Magazyn informacyjny Polskiego Związku Alpinizmu

Ukazuje się od 1907 roku
Nr 4 (304) Rok 78 ISSN 01373155
kwartalnik

Redaktor naczelny

Janusz Kurczab
ul. Podskarbińska 7 m. 48, 03-834 Warszawa
tel./fax: +48 22 813 22 05,
e-mail:
kurczab@o2.pl

Redakcja działu jaskiniowego

Wojciech W. Wiśniewski
ul. Św. Bronisławy 18 m. 1, 30-203 Kraków
tel. +48 12 427 13 11,
e-mail: taternik.speleo@wp.pl

Opracowanie graficzne, skład i druk

Zakład poligraficzny DRUK-POL
ul. Mińska 25, 03-808 Warszawa
tel./fax: +48 22 813 43 25
e-mail: info@druk-pol.com.pl

Współpracownicy

Małgorzata Fromenty (Francja),
Grzegorz Głazek, Bogdan Jankowski,
Władysław Janowski (USA), Arkadiusz Kamiński,
Małgorzata i Jan Kielkowscy (Niemcy),
Krystyna Konopka (USA), Adam Marasek,
Józef Nyka, Artur Paszczak, Jakub Radziejowski,
Apoloniusz Rajwa, Andrzej Skłodowski, Andrzej
Sławiński (Kanada), Wojciech Święcicki

Wydawca

Polski Związek Alpinizmu
ul. Noakowskiego 10/12, 00-666 Warszawa
+48 22 875 85 05
e-mail: biuro@pza.org.pl
www.pza.org.pl

Dystrybucja

Polski Związek Alpinizmu

Sprzedż detaliczna i wysyłkowa

Sklep Podróżnika i Antykwiariat „Filar”
Punkty sprzedaży: patrz ramki obok

Wydanie internetowe: www.taternik.e-tatry.pl

Prawa do tytułu „Taternik” posiada Polski Związek Alpinizmu. Prawa autorskie do publikowanych w „Taterniku” tekstów, zdjęć, rysunków i reklam są zastrzeżone. Przedruki są możliwe wyłącznie za pisemną zgodą redaktora naczelnego i pod warunkiem powołania się na źródło.



Nawet najlepsi uczyli się u nas...



THERMOACTIVE®

ZINTEGROWANY SYSTEM



Pracownia Sprzętu Alpinistycznego Małachowski

ul. Skoczowska 49

43-426 Dębowiec

Telefon: +48 (0) 33/8562261

Fax: +48 (0) 33/8562470

e-Mail: info@malachowski.com.pl

www.malachowski.com.pl